Cena 5 zł.

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

TAK JEST, WYRAZ BRATERSTWO JEST POTĘŻNY: OBALA GRANICE MIĘDZY PLEMIONAMI, JĘZYKAMI, WYZNANIAMI I ZLEWA LUDY W JEDNO CIAŁO

JOACHIM LELEWEL

Rok 1 **Łódź, 16 grudnia 1945 r.** **Nr 16**

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Londyn — listopad 1945 r.

Przechadzka filozoficzna
po księgarniach londyńskich

I. ŚLADY WOJNY

A jednak w tym Londynie rzeczą najbardziej nęcącą — są książki. Tak ciężko bez nich przychodziło się obywać przez sześć lat! A nie zaspokoiła tego głodu — i książka radziecka, ciągle jeszcze zbyt trudno dostępna...

Lecz trzeba być rozsądnym. Pobyt za granicą jest krótki. Wypełniony postronnymi, oficjalnymi obowiązkami. Trzeba sobie odmówić rozkosznej, niezorganizowanej włóczęgi wśród przeróżnych książek. Lepiej określić zadanie, ograniczyć się do tego tylko, co dotyczy teorii i historii kultury. A to i tak szeroki krąg. Nie chodzi bowiem o łatwą przyjemność wertowania, czytania po parę kartek tej czy owej rzeczy. Trzeba z danej dziedziny zobaczyć możliwie wszystko, co lata wojny przyniosły. Zorientować się, co zrobiono. A więc przechadzka — filozoficzna.

Na rynku wydawniczym i księgarskim Anglii znać wyraźnie tak samo, jak i w innych dziedzinach, daleko idące ograniczenia i braki wojenne. Stan kraju i jego rynków ciągle jest jeszcze bardzo daleki od pokojowej normalizacji. Wprawdzie książki kupuje się bez kartek. Ale jest ich mało, są trudno dostępne i drogie. Przeciętna książka naukowa kosztuje około funta. Czyli jedną dwudziestą miesięcznego zarobku szeregowego Anglika. Lecz taki Anglik znosi ograniczenia wojenne w sposób zdyscyplinowany i z godną podziwu lojalnością. Wie, że nie dostanie nic do jedzenia, ani do ubrania bez kuponów. Że musi zbierać kupony około dwu lat, aby kupić sobie garnitur. Rozumie więc też, że długo musi oszczędzać, aby kupić sobie piękną książkę. Zwłaszcza, że książki mogące liczyć na masowy pokup (a więc i popularno - naukowe) najpierw ukazują się w kosztownych edycjach, a dopiero po paru miesiącach wydawane są w taniutkich szylingowych (1/20 funta) wydaniach dla wszystkich.

W rezultacie jednak — w księgarniach ruch jest duży. I książka trafia do przedstawicieli bardzo różnych klas społecznych.

Tym nie mniej Anglia — podobnie jak i my czy Francja — odczuwa dotkliwy brak papieru. Nakłady są dziesięciokrotnie mniejsze niż przed wojną. Uprzejmy sprzedawca w ogromnej księgarni Bampusa wyjaśniał mi, że o wiele łatwiej dziś dostać książkę wydaną dwadzieścia lat temu — niż druk tegoroczny. Ten bowiem, ukazując się w skąpym nakładzie, najczęściej bywa rozkupiony w ciągu pierwszych tygodni. Gdy żaliłem mu się, że nie mogę znaleźć interesujących mnie podręczników logiki — z uśmiechem powiedział, że nie powinienem się dziwić, jeśli mi będzie trudno kupić egzemplarz „Hamleta", a cóż tu mówić o logice!

Z tych względów, ogólnie mówiąc, ruch wydawniczy i bodaj w ogóle umysłowy w Anglii w ciągu ostatnich lat nie był bardzo żywy i bogaty. I tu wojna wycisnęła swe twarde piętno. Widać, że kraj ten walczył i nie miał możności pisać, badać, analizować. Każdy z nas, sumując nowe poważne książki ze swojej dziedziny drukowane po 1939 r. — musiał stwierdzić niewielki przyrost.

A i wśród tych — najciekawsze rzeczy pochodzą z Ameryki. Tam właściwie tylko pracowano umysłowo spokojnie w ciągu tych ciemnych lat. I też tam donioślejsze są rezultaty. Ale tu książka amerykańska jest wielkim rarytasem. Trzeba jej szukać. Nie wystarcza chętna pomoc nawet największych firm angielskich. Wszyscy sprzedawcy ostrzegali, że niełatwo jest o amerykańskie wydawnictwa w Londynie. Trudności transportowe. Ciągle wozi się jeszcze maszyny i żywność. A nie książki.

Nie pomogły długie poszukiwania biur firmy (Cambridge?) Oxford University Press, która ma przedstawicielstwo ważnych wydawnictw Uniw. Amer. Harwarda. I ci nic nie mieli. Większość wydawnictw amerykańskich trzeba było przyswoić sobie z recenzyj. Zamówić przez naszą ambasadę. I czekać.

Ograniczenia te dotyczą i nakładów czasopism naukowych. Nawet dotarłszy w małym zaułku (St. Martin's Street) do wydawcy Macmillana nie dostałem wszystkich zeszytów tegorocznych „Mind" i „Philosophy". Niektóre czasopisma, jak np. „Sociological Review" w ogóle nie ukazywały się w ciągu wojny i dopiero mają wychodzić.

II. DROGA POSZUKIWACZA KSIĘGARNI

Informacje te oczywiście są rezultatem niedokładnego, pobieżnego spojrzenia — nieznającego miasta i stosunków przybysza. Nie mogą też uchodzić za bezwzględnie ścisłe. Starałem się przecież wyeliminować subiektywne błędy w miarę możności. Nie ufałem własnym siłom, szukałem informacyj o sprawach naukowych a zwłaszcza wydawniczych u czynników kompetentnych. Przede wszystkim w t. zw. British Council — angielskiej instytucji służącej propagandzie kulturalnej. Poza tym zaś u naszych przedstawicieli dla spraw kultury, przy ambasadzie.

Ponieważ łatwiej polować na upatrzonego, po wstępnych wizytach w księgarniach, przejrzałem pisma różnych specjalności. Spędziłem nad nimi długi i miły wieczór w hotelowym hallu. Na dworze było pieskie zimno. Tu zaś ciepły kominek i towarzystwo wyrozumiałego, uczonego kota hotelowego. Periodyki historyczne — jak to i u nas bywało — nudne i przyczynkarskie. Natomiast filozoficzne i ekonomiczne przynoszą dobre recenzje i ciekawe dyskusje, dobrze wprowadzające w problematykę danej dziedziny jak np. obszerna rozprawa nad semantyką („Mind").

Lecz takiemu, który jak ja, chce z konieczności jak najszybciej, jak najwięcej dowiedzieć się i wchłonąć — najlepiej służą wielogodzinne wizyty w dużej księgarni. Na drugi dzień po lądowaniu mówiono mi o ulicy Charing Cross. Ode mnie z Paddingtonu osiem stacji metra wzdłuż Bakerloo Line — pięknie brązowo znaczonej. Wysiada się tam, gdzie Oxford Str. przechodzi w New Oxford. Na półkach przed antykwarniami dobrze znane, podniszczone — zawsze pięknie oprawne tomy. Sklepy raczej małe, ciasne. Kilku kupujących już tworzy tłok. Lecz nie warto zaczynać od małych sklepów. Trzeba zacząć od „Foyles'a". Uwierzyliśmy temu naiwnie. Księgarnia obejmuje dwa wielopiętrowe domy na dwu rogach jakiejś przecznicy Charing Cross. Te wszystkie piętra, wszystkie sale tworzą sklep. Książki ułożone działami. Kupujących tłumy. Oczywiście masa starzyzny. Masa rzeczy antykwarycznych. A nowości, zwłaszcza specjalnych, których szukałem, wybór raczej mały. Gdyby się chciało kompletować planowo bibliotekę — taki olbrzymi sklep jest nieocenioną pomocą. Ale dla pragnącego zorientować się w specjalnych nowościach — jest zanadto obliczony na przeciętne potrzeby. Mija jednak parę ciekawych godzin, zanim można się zdecydować, że ten masowy kram nie jest najlepszym początkiem poszukiwań.

To też korzystam z uprzejmej rady miejscowego intelektualisty — „iść do Zwemmera na tejże Charing Cross". Usłuchałem przyznaję nieufnie — doradcą bowiem był malarz. Lecz nieufność okazała się nieusprawiedliwiona. Pan Henryk Gotlib miał istotnie rację. Wskazana przezeń księgarnia — aczkolwiek szczególnie celowała w wydawnictwach artystycznych — miała bardzo subtelnie i inteligentnie zrobiony, dostatecznie pełny wybór najważniejszych wydawnictw z logiki, filozofii kultury, historii zwłaszcza gospodarczej, publicystyki i ekonomii. Pobyt w tej księgarni dał nam podstawową orientację, o czym się w Anglii pisze, czym intelektualnie żyje. A potem zaczęły się rzeczywiście wielogodzinne, przez wiele dni powtarzane wędrówki po wydawcach i księgarzach. Zaczęły się polowania na upatrzoną, wyszukaną w bibliografii książkę. To wszystko wśród błądzeń w nieznanym mieście. Zaręczam, że nie łatwo jest znaleźć nieduży tom „Wstępu do semantyki" Carnapa — w tak wielkim mieście jak Londyn. Towarzysze moi — bodajże dość mieli człowieka, który w nieznanym miejscu ogląda tylko księgarnie.

Ale nie mieli racji. Daje to więcej przeżyć od mieszczańskiego błądzenia za osobliwościami. A poza tym — po drodze zawsze można było zajść czy to do Wallace Collection, by zobaczyć przecudowne Fragonardy, czy raz i drugi wrócić do Tate Gallery dla „Parasoli" Renoira, czy martwych natur Cezanne'a. Myślę, że mogę zaryzykować twierdzenie, iż szukanie księgarni najlepiej odsłania miasto i pozwala je smakować. Obeszło się bowiem uliczki przy British Museum pełne małych interesujących składów, stamtąd na Gower Street, gdzie w International University Booksellers mieli najbogatszy wybór prac ekonomicznych. Ale trzeba się było przerzucać i na północ, w okolice Regents Parku na Euston Road, i daleko na południe, nad Tamizę, na Strand (do Appletona na Bedford Str.). Wydawnictwo Kegan'a na zagubionej wśród ogromu miasta uliczce Carter Lane — tylko przy pomocy taksówki udało się odszukać. Co wieczór z planem miasta układało się listy adresów — w kolejności. Najwięcej przecież kupiliśmy u znakomitego Bampusa na Oxford Street, blisko Marble Arch.

III. O CZYM SIĘ PISZE W ANGLII

Gdyby chcieć przejść do wniosków — od tego prawie reportażu — trzeba by najpierw, z zastrzeżeniem scharakteryzowanych warunków poszukiwań — odpowiedzieć na kapitalne pytanie czym żyją intelektualnie Anglicy, jeśli idzie o problematykę szeroko rozumianej filozofii kultury wraz z jej metodologicznymi, historycznymi, politycznymi i ekonomicznymi peryferiami? Świadczyć będą tu zarówno fachowe pisma z ich artykułami, dyskusjami, recenzjami, jak i nowe książki na półkach księgarskich, w katalogach wydawców (wyczuwane po tytule) i w rozumowanych spisach bibliograficznych. Będę wymieniał tylko książki, które ukazały się po 1939 r.

Uderza już na pierwszy rzut oka i potem pozostaje jako trwałe i skonstruowane wrażenie, że jesteśmy w kręgu idei dobrze znanych z ostatnich lat przed 1939. Podobne wrażenie robią dwie filie znanej paryskiej księgarni Hachette'a, które w Londynie reprezentują szczególnie bogato świat nowej książki francuskiej.

A więc: neopozytywizm, różne formy przenikania do filozofii i publicystyki światopoglądu katolickiego. W literaturze zaś podobnie atmosfera sztuki eksperymentującej, epigonów symbolizmu, wytwornych wizjonerów czystej fantazji; wiele przekładów Mallarme'go, piękne dwujęzyczne wydania „Kwiatów zła", Joyce i frapujące książki o nim, uderzające już śmiałą, nowoczesną, nieco epatującą formą zewnętrzną. Bardzo wiele Apollinaire'a, przekłady Borisa Pasternaka, przekłady dawniejszych rzeczy Cocteau i Giraudoux. Jakże to dobrze znamy! To atmosfera dawno porzuconej młodości. Tym żyli u nas uczniowie Czechowicza, to była atmosfera wczesnych okresów awangardy Wileńskiej, to bowiem wyrażał „Tropiciel" Rymkiewicza, z tego ducha powstało „Ferdydurke" Gombrowicza. Jeśli można (a sądzę, że można) uważać doskonałą, bogatą w społeczną treścią, racjonalną, a aż drżącą od dławionego uczucia prozę Rudnickiego za znamienną dla tej głębokiej i twórczej przemiany naszej literatury, którą przyniosły doświadczenia lat okupacji — to śmiało możemy powiedzieć, że lepiej stoimy, że dalej jesteśmy niż to co się narzuca w Anglii włóczącemu się po księgarniach. Zwłaszcza, że szkice krytyczne Kotta mówią, iż z całą świadomością odrzucamy tę mieszczańską tradycję lat międzywojennych.

Podkreślam — to co się narzuca — czego nie sposób nie zauważyć. W tym sensie tylko tak wiele jest tu wpływów neopozytywizmu i katolicyzmu. Bo dla uważniejszego poszukiwacza wysiąpi silny, wyrazisty nurt marksistowski. Szczególnie w nowatorskich pracach socjologicznych (Goodfellow D. M.: Principles of Economic Sociology. As Illustrated from the Bantu Peoples), oraz w rozprawach historyków, a więc w próbach konkretnego stosowania metody materialistycznej w badaniach kulturalnych. Szczególnie głośne prace: C. Hill „The English Revolution 1640"; P. Vinogradoff „The Growth of the Manor". („Rozwój folwarku"). Istnieje poważne zainteresowanie i dla klasyków marksizmu, ostatnio np. H. P. Adams ogłosił u G. Allena pracę o początkowej fazie twórczości założyciela naukowego socjalizmu: „Karl Marx in His Earlier Writings". Nadto w księgarence na Museum Str., wyraźnie dla intelektualistów zaopatrzonej ze smakiem w trudne i ciekawe książki, było dużo nowych wydań w oryginale i nowych przekładów klasyków marksizmu łącznie z trudno dostępnymi listami. Zwraca uwagę sporo przekładów Stalina. Zwłaszcza pięknie wydrukowany przez G. Allena tom „Leninism" w drugim już wydaniu. A. H. Rowse wydał czasu wojny u Macmillana „An Essay on Marxian Economics" a K. Federn „The Materialist Conception of History". Szczególną, doniosłą pozycję marksizmu ilustruje zwłaszcza fakt, że to z marksizmem — a nie z katolicyzmem czy jakimkolwiek innym światopoglądem — dyskutują jako z poważnym, jedynym poważnym przeciwnikiem neopozytywiści, cieszący się tu oficjalną, uniwersytecką powagą, rządzący redakcjami szanownych pism naukowych, tym bliżsi Anglikom, że związani z narodowymi tradycjami filozofii angielskiej: pozytywizmu i pragmatyzmu.

Z pozycyj neopozytywistycznych nie obojętnych zarówno dla zwolenników jak i dla przeciwników tego kierunku, należy wymienić dwie książki Carnapa, które ukazały się w Ameryce, gdzie autor wykłada od lat po ucieczce z Niemiec hitlerowskich. Prace te przynoszą—niezależnie od sugestyj światopoglądowych — obiektywne, empiryczne zdobycze posuwające znów naprzód technikę badań naukoznawczych. Są to: fundamentalny „Wstęp do semantyki" (Introduction to Semantics 1942) dający syntetyczny zarys tej tak ważnej dla postępu nauki umiejętności filozoficznej — oraz druga książka, która jest zastosowaniem ogólnych twierdzeń „Wstępu" do konkretnych zagadnień naukoznawczych — wydana w 1943 próba formalizacji logiki (Formalisation of Logic str. 159).

Z angielskich neopozytywistów i propagatorów t. zw. naukowej metody należy wymienić szczególnie ruchliwą panią Stebbing, która w ciągu wojny wydała trzy interesujące książki. A mianowicie: wstęp do nowoczesnej logiki i metodologii nauk, podręcznik (elementarny) nowej logiki i w popularnej serii Pelicana „Thinking to some purpose" („Myślenie celowe") dla masowego czytelnika. W pierwszym roku wojny nadto tym samym zagadnieniom metodologicznym — ustalaniu formalnych rygorów ścisłego, poprawnego, empirycznego postępowania naukowego — poświęcili dobrą książkę Morris R. Cohen i Ernst Nagel. Z podręczników zwraca uwagę Willard van Orman Quine „Mathematical Lo-

gic". Z prób nowatorskich na polu nie tyle samej logiki, co jej filozofii, należy wymienić ostatnio wydane A.E. Wright: Prolegomena to the Logic which Searches for Truth (1941) oraz A. P. Ushenko: The problems of Logic (1941). Ta ostatnia książka budzi większe zainteresowanie, z dużą bowiem znajomością współczesnego stanu wiedzy rozważa sporne i kłopotliwe problemy teorii dedukcji, problemy, które dzielą interpretatorów filozoficznych nowej logiki: a więc sprawy logiki jako gałęzi matematyki, sprawy ekstensjonalnego traktowania logiki, sprawy intuicjonalistycznej teorii logiki, że wymienię najważniejsze tematy.

Zastosowaniom metody semantycznej do różnych szczegółowych problemów teoretyczno - naukowych poświęcone są prace: Ray Lepey: „The Verifiability of Value" (Sprawdzalność wartości) oraz Charles L. Stevenson „Ethics and Language" (Etyka i mowa).

Zwraca uwagę miłośników książki filozoficznej pięknie opracowany przez P. A. Schilpp'a, jednotomowy wybór prac fundatora nowoczesnej logiki, Russella. Z nowości tego popularnego u nas filozofa trzeba wymienić nowe wydanie „An Inquiry into Meaning and Truth", (Badanie znaczenia prawdy"), której to pracy dotąd nie widywałem w Polsce, oraz sygnalizować przygotowane przez Allena wydanie książki historyczno-filozoficznej: „Philosophy and Western Culture from Greece to the Present Day" („Filozofia i kultura Zachodnia od Grecji do dnia dzisiejszego"). U Pelicana nadto ukazała się popularna, tania książeczka „Let the People Thin" („Niech ludzie myślą").

Sporo jest naogół, jak się zdaje, niezbyt ciekawych, tradycyjnych dzieł z historii filozofii. Znamienne jest zainteresowanie Platonem, któremu poświęcono ostatnio parę prac. Jak zawsze to i owo pisze się o myśli egzotycznej, o Indiach. Mamy parę nowych i nowo wydanych książek Dewey'a (Wolność i kultura, Współczesne wychowanie), lecz niewątpliwie najpoważniejszą pozycję ostatnich lat w interesującej nas szeroko pojętej dziedzinie filozofii kultury jest dwutomowa praca (620 str.) K. R. Poppera „The Open Society and its Enemies". Nazwisko autora znamy z jego znakomitego debiutu w 1935 w Wiedniu (Logik der Forschung). Pierwsza książka poświęcona była teorii nauk ścisłych. Przyjęta niezwykle pochlebnie przez krytykę całego świata wzbudziła szeroką i ważną dyskusję na łamach „Erkenntnis" na pasjonujący temat: czy teorie naukowe, empirycznie rzecz biorąc, tworzą zamknięte systemy sądów, czy też swobodne, encyklopedyczne zbiory twierdzeń naukowo ważnych. U nas Kotarbiński w „Nauce Polskiej" podkreślił szczególną dzielność umysłu młodego wówczas pisarza. Popper obecnie wykłada „logikę i naukowe metody" na uniwersytecie londyńskim. Nowa jego książka mówi „o społeczeństwach otwartych i ich przeciwnikach" — i poświęcona jest dyskusji z Platonem (tom pierwszy) oraz Heglem i Marksem (tom drugi).

Książka ta jest znamiennym przejawem prób poszerzenia i przesunięcia dotychczasowych zainteresowań neopozytywistów. Wśród pisarzy tej grupy ton główny nadają ciągle emigranci niemieccy, w swoim czasie usunięci przez hitlerowców, zawsze dość silnie związani z lewicą społeczną, lewicą reformistyczną. I dziś to oni Carnap, Popper i Reichenbach oraz Frank (o ich nowych książkach o teorii fizyki publikowanych w Ameryce tylko słyszałem od czeskiego marksisty i naukoznawcy prof. Kolmana) decydują o charakterze ruchu neopozytywistycznego, to oni piszą najdonioślejsze, przełomowe książki, chociaż mają tak wielu uczniów, naśladowców i zwolenników zwłaszcza w świecie anglosaskim. Otóż ci pisarze — emigranci święcili triumfy na polu metodologii teorii dedukcji, zajmowali się wiele teorią nauk ścisłych. Sprawy ludzkie, sprawy kultury były im obce. Stąd mały zasięg społeczny światopoglądu neopozytywistycznego przy dużej powadze naukowej. Próby jednego z nich — Neuratha — na polu metodologii humanistyki były w porównaniu do zwyczajnej subtelności myślicieli tej szkoły grube, nieporadne, naiwne, nie mogły obudzić głębszego zainteresowania, były zresztą zbyt oderwane od konkretnej, współczesnej problematyki.

Książka więc Poppera przynosi pierwszą próbę szerokiego podejścia do pasjonujących nas dzisiaj, aktualnych dla każdego zagadnień społecznych, zagadnień reform społecznych. Jest próbą przeniesienia ścisłych, wyszkolonych na logice metod myślenia do problemów teorii kultury. Jak należało się spodziewać, jak zapowiadały podstawowe tezy światopoglądu neopozytywistycznego, książka jest zdecydowanie wsteczna, reakcyjna. Tym niemniej jest poważna, w ujmowaniu zagadnień nowa. Jest wydarzeniem umysłowym bardzo doniosłym. Nie można przejść koło niej obojętnie, gdyż może wielu czytelnikom w głowach zamącić. Zasługuje w pełni na poważną, zasadniczą dyskusję. Myślę, że to właśnie neopozytywiści są jedynymi godnymi dziś dyskusji przeciwnikami dla marksistów. Omawiana książka reklamowana jest jako polemika z totalistyczną koncepcją społeczeństwa. Popper zwalcza w niej wszystkich zwolenników racjonalnego planu w kulturze — a więc zarówno Marksa jak i Platona. Opowiada się za społeczeństwami „otwartymi", za społeczeństwami liberalnych możliwości indywidualnych. Dla Poppera harmonia „zamkniętych" społeczeństw do jakich rzekomo dążył Marks, Hegel, Platon polega na bezwzględnym podporządkowaniu jednostek różnym „tabu" plemiennym, pisarz opowiada się za „społeczeństwami otwartymi", w których swobodnie rozwijają się krytyczne właściwości człowieka.

Wokół pracy Poppera rozwinęła się już w ciągu tych paru miesięcy pewna dyskusja. O jej poważnym przyjęciu świadczy jednak raczej szereg sporów ideowych, które jej ukazanie się poprzedziły. Popper bowiem w latach wojny na łamach pisma „Economica" poruszał kwestie, później w książce rozwiązane, a te wystąpienia nie pozostawały bez echa. Da się więc powiedzieć, że owe dwa solidne tomy wyrosły z walki idei, ze ścierania się poglądów, że są produktem nie tylko talentu autora, ale i zainteresowań zbiorowych. Książka jednak pomimo całej powagi aparatu metodologicznego jest ciasna i jak poprzednie prace neopozytywistów daleka od zrozumienia istotnych cech specyficznej problematyki humanistycznej. Jak się zdaje, przy wszystkich pozorach naukowości — jest jednak nie empiryczna, przy pozorach rygoryzmu myśli — chyba lekkomyślna w założeniach całej swojej społecznej antologii.

W swej obronie praw człowieka do swobodnej krytyki wiąże się ona z żywymi w Anglii zainteresowaniami dla humanizmu, dla nowego humanizmu, o którym i u nas wiele się dyskutuje. Pod firmą tego humanizmu przenikają do Anglii i tendencje katolickie. Cechuje je tradycyjna nieufność wobec nauki (D. J. B. Hawkins — The Criticism of Experience 1945), propaganda filozofii tomistycznej i swoisty program „humanizmu integralnego". Widzi się tu nowe, tegoroczne przekłady Ch. Peguy, lecz w tym zakresie dominuje znany w Polsce od lat Jakób Maritain. W księgarniach angielskich półki zawalone są tłumaczeniami prac tego arcyutalentowanego „publicysty filozoficznego" jak z przekąsem (bodaj słusznym!) mówili o nim tomiści z prawdziwego zdarzenia (Gilson!). Ci ostatni bowiem pojmowali tomizm jako doniosłe zjawisko historyczne, ważne w swoim czasie. Maritain natomiast ze zręcznością kuglarza wyzyskiwał tomizm do snobistycznej propagandy światopoglądu katolickiego dzisiaj. Pamiętam rozmowę o tomizmie z dr. Nowińskim jeszcze w czasie okupacji, gdy ten twierdził, iż triumf systemowi filozoficznemu zapewnia nowe, odpowiadające nowej problematyce historycznej spojrzenie na rzeczywistość kulturalną, nowe spojrzenie zewnętrzne wyrażające się w nowym języku. Otóż neotomizm tworzył sobie pozory takiego nowego spojrzenia przez pozory nowego języka. Rzeczywiście — język tomizmu z XIII w. — w zastosowaniu do spraw naszej doby był tak nieoczekiwanym, że czarował snobów i pseudomyślących. Inna sprawa, że trzeźwy człowiek jasno widział, że cały tomizm jako średniowieczny zabytek nie jest zdolny zadawalająco zinterpretować żadnego współczesnego faktu. Może służyć tylko do mistyfikowania naiwnej młodzieży. To też każdy z nas przeżył dziecięcą chorobę zachwytów dla Maritaina i jego zaiste futurystycznego bełkotu w filozofii. Ale to w Polsce minęło już od początku okupacji. Potem rzeczywistość rysowała się zbyt plastycznie, by najmniej krytyczny wielbiciel Maritain'a nie spostrzegł, że jego mistrz — nie umie rozwiązywać trafnie i trafnie analizować współczesnych zagadnień.

W Anglii urok tego pisarza jeszcze trwa. Chociaż w poważnych dyskusjach śladów zainteresowania tymi sprawami nie spostrzegłem. Polemizuje się — jak pisałem— z marksistami w sprawach społecznych. Katolicy mają natomiast wpływy w krytyce literackiej (np. Nicholson), daje to bowiem możność efektownych ocen. W popularnej publicystyce politycznej reprezentuje chrześcijański punkt widzenia znany pan Cripps („Towards Christian Democracy" („Ku Demokracji Chrześcijańskiej").

Co zaś do humanizmu — mamy go jak i u nas w mdłym sosie katolickim. Ale mamy również sporo książek o rzetelnym hamanizmie bliskim każdemu postępowcowi. O humanizmie autentycznym z XVI i XVIII wieku. O humanizmie, który walczył o zerwanie wszelkich więzów krępujących człowieka: więzów przemocy ekonomicznej i politycznej, więzów przywileju feudalnego i więzów umysłowych religii i kościelnego autorytetu. Są dobre książki angielskie na temat Rabelais'ego, są nowe przekłady i popularne wybory Voltaire'a. Temu tematowi poświęcona jest ostatnia książka znakomitego Leona Brunschwicga „Descartes et Pascal — Lecteurs de Montaigne" (1944).

Z teoretycznych rzeczy w tym zakresie są popularnością prace R. Mannheima (np. Man and society in an Age of Reconstruction). Jest to starszy uczony, emigrant z Niemiec, który prezważnie przerabia swoje stare pomysły i prace niemieckie.

Profil filozoficzny dzisiejszej Anglii byłby zupełnie fałszywy przecież i niedokładny — gdyby nie podkreślić ciągle żywego tu wraz z Wellsem — a kiedyś u nas propagowanego przez Winawera i Słonimskiego scientyzmu, z jego naiwną wiarą w magiczną moc nauki uzdrawiającą drogą perswazji bolączki społeczne. Tę postawę formułuje teoretycznie w taniej serii „Pelicana" prof. C. H. Waddington: „The scientific Attitude". (Postawa naukowa). Wzbogaca ten krąg idej parę książek popularyzujących zwłaszcza zdobycze biologii w zastosowaniu do spraw społecznych. Typowym przykładem tego bardzo nienowoczesnego naturalizmu, nie uznającego odrębności i swoistości praw społecznych będzie: H. G. Wells, JBS Haldane, J. Huxley. O opanowywaniu wpływu dziedzictwa biologicznego na człowieka: Reshaping Man's Heritage: „Biology in the Service of Man. Krytyce postawy tego typu poświęcona jest napisana w 1937 a powtórnie w 1943 r. wydana książka Susan Stebling „Philosophy and the Physicists" (w popularnej, taniej serii Penguin'a).

IV WYCIECZKI W INNE DZIEDZINY

W moich wędrówkach towarzyszył mi zwykle historyk i polityk Wł. Bieńkowski oraz literat i romanista Jan Kott. Ci nie pozwalali na zajmowanie się tylko filozofią. Zmusili mnie nawet do zainteresowania się i przejrzenia czterotomowego nowego dzieła znanego biografa Montagu Normana, i autora dzieł ekonomicznych, Paula Einziga „World finance". Bardzo bogate w informacje i bardzo nudne. Towarzyszom tym zawdzięczam wycieczki w dziedzinę historii, publicystyki politycznej, pedagogiki i ekonomii.

Zainteresowaniem niespecjalistów cieszy się popularna, doskonała, marksistowska praca A. L. Mortona „A peoples history of England". Ukazała się bezpośrednio przed wojną i na 544 str. daje doskonałą, sugestywną interpretację dziejów społeczeństwa angielskiego. Myślę, że podobna książka poświęcona dziejom Polski jest u nas koniecznością chwili. Ponieważ historia ciągle jeszcze mało jest nauką, a bardziej publicystyką, trzeba mówić o historiografii różnych obozów politycznych. Marksistów (Hill, Morton, Vinogradoff) już wymieniałem. Z reprezentowanych książek socjalistów należy wspomnieć: Jacka Hardy „The First American Revolution" oraz A. W. Ellisa i F. J. Fishera „A history of English Life"; także H. J. Laski „The Rise of European Liberalism". Liberałów reprezentuje znakomity G.M. Trevelyan ostatnio wydanymi pracami: „English social history" (1944) i „England under the Stuarts".

Znany w Polsce interesujący i życzliwy marksizmowi ekonomista - reformista z lewego skrzydła Partii Pracy G.D.H. Cole wydał „Fabian Socialism", oraz dwie popularne prace w serii „Pelicana": „Socialism in Evolution" oraz „Practical Economics".

Wielki papież ekonomistów burżuazyjnych i zaiste bardzo mądry człowiek J. M. Keynes ogłosił „How to pay for the War" — a więc arcyciekawe pytanie dla każdego jak będziemy płacić za wojnę? Sporo spotyka się broszur i książek poświęconych projektowanej i przewidywanej gospodarce powojennej świata, poświęconych propozycjom zracjonalizowania tej gospodarki. Nie umiem określić wartości tych książek. Typowym tytułem dla licznych tego rodzaju wydawnictw będzie: „Plan for Reconstructon. A Project for Victory in War and Peace. By W. H. Hutt, Professor of Commerce in the Uniwersity of Capetown". Kto chce niech czyta i uczy się od tych afrykańskich profesorów.

Uderza skromna ilość nowych książek z zakresu teorii pedagogiki i naukowych podstaw sztuki wychowania. Dość dziwna — ale i znamienna w kraju, gdzie przeciętny mieszczuch uzależnia podobnie jak i polski mieszczuch przyszłość społeczną od przemiany człowieka, a nie ustroju. Jest to znamienniejsze, że książek poświęconych problemom ustrojowym jest wiele. W sumie mówi to, że mieszczuch angielski, żyjący w środowisku bardziej przesyconym empiryczną wiedzę, chcąc niechcąc zaczyna wątpić w swoją filozofię społeczną i szuka nowych realniejszych dróg, zmuszony wymową faktów, które są bardziej dostrzegalne na wielkim świecie, niż w polskim zaścianku.

Publicystyka polityczna zawiera wiele projektów umiarkowanych reform społecznych. Sporo aktualności wojennych: np. Ensor „History of the War", lub Newman „The new Europe". Na czoło publicystyki politycznej wysunął się Herbert Read Najwięcej się o nim mówi, najprzyjemniej czyta. Jest to niewątpliwie pisarz o ciekawej, błyskotliwej inteligencji. Ostatnio wydał „To hell with culture" (Do diabła z kulturą), i „Art an Society", oraz „The Politics of the Unpolitical" (Polityka niepolitycznych). Z ciekawszych rzeczy z tego zakresu warto wymienić sporo nowych broszur Wellsa (First and Last Things, The Conquest of Time, The happy Turning), „Reflections on the Revolution" jednego z przywódców Partii Pracy Laski'ego, Macartney'a prace o dbudowie Włoch i problemach basenu dunajskiego, studium Machray'a o Górnym Śląsku, oraz Reddaway'a o zagadnieniach bałtyckich. Znany slawista, autor książki o Konarskim prof. Rose napisał dużą pracę o rozwoju polskiej myśli demokratycznej (Rise of Polish Democracy). Z teoretyków myśli ekonomicznej wysuwa się dwoma ostatnio wydanymi książ-

JÓZEF WITTLIN

DO JĘZYKA POLSKIEGO

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie
Naszego śpiewu, gniewu i lamentu!
Poszedłeś razem z nami na wygnanie,
Ach, udziel nam ostatnich sakramentów!

Biały gołąbku cichego przymierza
Tych, co są wolni, z tymi, co są bici,
Sfruń na stalagi i w ustach żołnierza
Żyj, i niech tobą chociaż się nasyci.

Mlekiem i miodem spłyń w straszne rynsztoki
Miast porażonych doczesną niewolą,
Najsłodszym z twoich słów pożegnaj zwłoki
Zabitych w szczerym polu!

A gdy wrócimy na to krwawe łono,
Z którego ty i myśmy się poczęli,
Polskim milczeniem ziemię umęczoną
Niech powitają anieli.

NA SĄDNY DZIEŃ ŻYDOWSKI ROKU 1942/5703

Od tylu wieków się toczy gardłowa przeciw nam sprawa
I bez Twojego wyroku odwieczna kazń nasza trwa.
Powołaj świadków obrony i niech skończy się ta krwawa
Parodia Sądnego Dnia!

Miast pieluch już nam w kołyskach śmiertelne wkładają koszule.
Od bicia, bicia się w piersi na kamień stężała nam dłoń.
Jehowo! Zjaw się na Sądzie i wykryj błąd w protokóle,
Z nadobłocznego zejdź tronu i sam przed Sobą nas broń!

Już pierwsze gwiazdy zabłysły na Twoich niebios powale,
Starcy zadęli w rogi — płomienie buchnęły im z bród.

***

Tyleśmy grzeszni, co inni hac lacrymarum valle
Wygnańcy, synowie Ewy, przeklęty Kaina płód.

kami W. Stark (The History of Economics in its relation to social developement). Próbą normatywnego wyzyskania dla przyszłości doświadczeń historycznych jest praca Lipsona „A planned economy, or free entreprise" — a więc spór planowej gospodarki z wolnymi przedsiębiorstwami.

Uderza ubóstwo książek informujących o zbrodniach niemieckich. Więcej prac o przyszłości Niemiec i wypowiedzi niemieckich demokratów, łącznie z programami niemieckiej socjaldemokracji. Sporo jest natomiast dzieł poważnych, poświęconych Związkowi Radzieckiemu. Sam Kegan, a więc tylko jedna firma, wydał siedem dużych książek. Najwięcej zaufania budzi solidny tom: Coates „A history of Anglo-Soviets relations". Sporo jest reportaży wojennych z frontu wschodniego. Prawodawstwu sowieckiemu poświęcił w tym roku gruntowną książkę Rudlof Schlesinger: „Soviet Legal Theory. Its Social Background and Developement". G. Struve dał obszerną charakterystykę sowieckiej literatury od 1918 do 1943 roku włącznie. Jest to zresztą poszerzenie i wzbogacenie nowymi literackimi faktami wydanej dawniej pracy tego autora.

Miłośnik mądrych i głębokich książek, oddychających rzetelną kulturą — napewno dostrzeże najnowszą (1945) książkę wielkiego lingwisty O. Jespersena „Growth and structure of the english language" (Rozwój i struktura języka angielskiego). W tej pięknej książce mamy historię angielszczyzny, wpływy językowe skandynawskie, francuskie, łacińskie, greckie, nowoczesny wykład strukturalny gramatyki angielskiej i wreszcie pasjonujący rozdział X o Szekspirze i języku poezji angielskiej, stawiający całkiem na nowo to ciągle nierozwiązane zagadnienie: jak badać językowe dzieło sztuki.

V. NASI ZA GRANICĄ

Nawet w największej księgarni łatwiej jest dostać słownik angielsko - chiński, niż angielsko - polski. Niezawodnie mieli mieć te słowniki gdzieś na High Holborn. Z dobrej, dickensowskiej Fleet str. gdzieśmy się kręcili — nie trudna droga. Spróbowaliśmy pieszo. Okazało się trudniej niż na planie. To też gdzieś przy zbiegu Museum str. — High Holborn i New Oxford pokręciło się nam wszystko. Ruszyliśmy na chybił trafił i niespodzianie pakujemy się na polską księgarnię. Przyjezdnych z kraju przyjmują — trzeba przyznać życzliwie. Służą czym chata bogata. Niestety, nic poważnego. Raczej ciekawe eksponaty do muzeum osobliwości. Tomiki poezji na ogół znane w kraju: Słonimski, Broniewski, Baliński. Prozy powieściowej żadnej. Jedynie reportaż Pruszyńskiego „Droga prowadziła przez Narwik". Wiemy nie od dziś, że pisarz ten jest świetnym narratorem. Tę zaletę posiada w wysokim stopniu i nowy tom, rodzajowo przypomina bardzo „Nadzieję" Malraux. Tak samo reportaż wojenny. Tak samo moment przełomowy. Tak samo bohaterowie mają skłonności do zasadniczych dyskusji ideowych. I te dyskusje stanowią istotny czynnik artystyczny utworu. Ale jakaż różnica w treści. Malraux zdobył się na ostre, dalekowidzące, nie uciekające przed komplikacjami psychologicznymi spojrzenie na kipiącą współczesność. Książka Pruszyńskiego wyrosła z pustki ideowej naszej emigracji. Dyskusje w niej zawarte są pełne frazesów, ani jeden problem nie chwycony za rogi. Ci walczący ofiarnie chłopcy nie wiedzą ani czego chcą, ani czego nie chcą. To może być realizm. Ale oni również nie wiedzą o co idzie spór w Europie. A to już świadectwo ubóstwa umysłowego i społecznej dezorientacji.

O tym samym mówi i poważne, postępowe czasopismo emigracyjne „Nowa Polska" pod redakcją Słonimskiego. O ile bogate jest ono w poezję i ciekawą prozę artystyczną (Kuncewiczowa, Themerson), o tyle ubogie w publicystykę.

Z publicystyki kwitnie paszkwil. Równie ordynarny i kłamliwy jak propaganda hitlerowska. W metodach i ideologii to typowe produkty oenerowsko - sanacyjne. Celuje w tym środowisko Andersa. Ale i to jest ilościowo ubogie — 5 czy 6 małych książeczek.

Z poważnych prac należy wymienić po angielsku napisaną historię Polski Haleckiego, zbiorową historię Polski, wydaną w znanej serii Uniw. w Cambridge. Zbiorową książkę o uczonych polskich zabitych w czasie wojny.

Nadto z godnych uwagi książek, napisanych przez Polaków, trzeba sygnalizować pracę cennego ekonomisty Kaleckiego: „Studies in Economic Dynamics". W sumie — bynajmniej nie ma dowodu, aby to kwiat naszych intelektualistów znalazł się na emigracji. Przeciwnie — porównując ich produkcję z tym co się robi w kraju — trzeba sobie powiedzieć, że na emigracji siedzą na ogół mało ciekawi ludzie. Gorzej, że popisujemy się nimi przed obcymi. Z czeskiej literatury mamy osiem nowych przekładów książek niebylejakich — bo Capcka. A z naszych — przełożono wiersze aż p. Antoniego Bogusławskiego!

Do samolotu kupiłem sobie tomik wierszy satyrycznych Hemara „Marchewka". Serdecznie się uśmiałem. Autor jest zdecydowanym wrogiem demokratycznej Polski. Ale przecież bystrość satyryka pozwala nam jasno widzieć, że cała emigracyjna awantura jest w ostatecznym wyniku tylko żałośnie komiczna, i obiektywnie szkodliwa dla Polski.

Stefan Żółkiewski

LUDWIK HERING

Zieleniak

Czwartego sierpnia rano po kwadransie wściekłej strzelaniny, na ciche dotychczas uliczki Ochoty wtargnęły chmary Ukraińców, wypędzając mieszkańców z błyskawicznie podpalanych domów.

Jedynym chyba — silniejszym niż strach — uczuciem ludzi było zdumienie. Szli jak lunatycy z podniesionymi rękami, krzykiem i ciosami karabinów kierowani z bocznych uliczek w główną — Grójecką.

Oślepieni gęstymi obłokami dymu, który zmieniał ulice w łaźnie, następując na siebie w tłoku, posuwali się wolno wśród szybkiego, niewidocznego szpaleru obmacywań, przekleństw, strzałów i uderzeń.

Miazga ludzka wytłoczona ulicą za granicę miasta — uściślona konwojem — pełzła wolno gładkim pasem szosy, pod ogromnym niebem, przekreślonym lekką smugą drutów i dalekimi wieżami radiowymi.

Już mroczniało, gdy zatrzaśnięto żelazne bramy za wielotysięcznym tłumem wpędzonym na pusty plac, otoczony murem.

*

Wystrzelona w nocne niebo rakieta, świeciła chwilę i zbruździony gęstą arabeską blasku i czerni ekran zgasł nagle. W obmurowanym, kilometrowym chyba prostokącie szarzeje splątany kilkadziesięciotysięczny płaski tłum leżących ludzi.

Brzegami wędrują światełka latarek, migocą po kilkanaście i pojedyńczo. Czujkami blasku macają mrok, wślizgują się w głąb, nieruchomieją, gasną. Rozlana masa nakłuwana światłem, — marszczy się pełzliwie ku środkowi. Co chwila zwierzęcy, pożądliwy pomruk wyszarpuje z ziemi przerażony, błagalny głos kobiecy. Szczelnie przylega do murów stalowe niebo — rudawe brzegiem przezroczyste od strony palonego miasta.

Częste, iskrzące się suche wystrzały wach osaczających mury, ścierają świadomość.

*

Zsiniały o świcie plac — dawniej targowisko jarzynowych hurtowników: wielki czworobok gołej ziemi, porosłej gdzieniegdzie zdeptaną świńską trawą — zaroił się od poruszonych głodem ludzi.

Rodzice uspakajają płaczące dzieci, że wrócą wkrótce do domów, do swoich piwnic — trzeba poczekać tylko aż się domy wypalą i ostygną. Sami w to wierzą. Większość nie wyniosła nic — poza dotkliwym urokiem nieba nad tymi swoimi domami, nasyconymi nadzieją ostatnich tygodni.

Dla kilkadziesięciu tysięcy ludzi jest tylko jedna studnia, — za bramą. Puszczają do niej pod konwojem po kilka osób. (Na drugi czy trzeci dzień założono dodatkowy hydrant na terenie). Jest również brama prowadząca na jarzynowe działki. Otwierają ją nie wiadomo kiedy i na krótko. Puszczają także od czasu do czasu do przyległych zzewnątrz budynków, już spalonych, skąd można przywlec rozbite szafy, stoły, drzwi i krzesła. Zdarzają się jeszcze inne okazje — jednorazowe i niepowtarzalne: zabity koń lub krowa. Poza tym nie ma nic.

Żeby zdobyć coś z nielicznych darów Zieleniaka trzeba mieć węch psa, celność strzelca i szybkość pocisku. No i bary, i łokcie, i pięści.

*

Powietrze szumi jak liście rozkołysanych drzew, sypiąc obficie twarde i cuchnące owoce — słowa — zawsze te same, wystarczające dla określenia różnych zjawisk i uczuć.

Każda upływająca godzina coraz wyraźniej dzieli ludzi na zaradnych i niezaradnych i decyduje o dalszym podziale na sytych i padających z pragnienia i głosu.

Szanse przetrwania przeważały na stronę szarego proletariatu przemieszanego ze świetniejszą i świetną ludnością nowoczesnych bloków i ogrodowych domków tej dzielnicy. Ludzie pogrążeni w jednej sytuacji — nie przestawali być ludźmi różnych sfer. Te różnice stwarzały dystans, utrudniały współżycie. Jedyne co tu ma sens — to siła fizyczna, wytrzymałość i celowy wysiłek ciała. Wszystko inne — wrodzona i robiona wytworność, wrażliwość, nawyki, zwyczaje i polor uprzywilejowanych — działa jak demonstracja. Razi i śmieszy, wreszcie staje się pospolitą słabością i wyczerpaniem.

Elegantki z przedmieścia od pierwszej chwili zrezygnowały z wytworności, splunęły energicznie na manikiry i nie ustępowały w zaradności swoim mężczyznom.

Odwieczne tradycje jednoizbowców pozwoliły — im właśnie — łatwiej znosić warunki Zieleniaka. Ci, co na szmuklerskich szlakach przywykli do sytuacji bez wyjścia, z których jednak wychodzili żywi, którzy sto razy tracili i sto razy zaczynali, — i tu zaczynali „od nowa".

Krytycznie patrzącym zdawało się, że „ci ludzie" są tu w swoim żywiole. Przykucnięci w biernym oczekiwaniu — jak na stacji kolejowej — patrzyli ze zdumieniem, jak „tamci" urządzali swoje biwaki, jakby tu mieli zostać na wieczność. Odgrodzone deskami kojce zabezpieczały ich „przestrzeń życiową"; przywleczone szafy i biurka wzrastały jak stragany stosami jarzyn, przybywały garnki, konwie z wodą i miski. Gdzieniegdzie sterczał — jak w poczekalni — rosochaty wieszak. Te wieszaki służyły poza tym jako punkty orientacyjne.

Gdy piątego dnia liczni przezorni „posiadacze" odchodzili na niewiadomy los z workami na plecach, kubłami w rękach i z krzesłami na głowie — głodne rzesze rzuciły się na ziemię po nich, pożerając przed drogą obfite reszty niezabranych kartofli i buraków.

Dzieci Warszawy — gazeciarze i papierosiarze odrośli na osaczonych łapankami ulicach — od dawna posiedli mądrość życia na przekór. To oni w ostatnich przedpowstańczych miesiącach wprowadzili nowy brawurowy styl wyskakiwania — „urywania się" — z tramwaju, w najszybszym pędzie ciskali się ze stopnia odchyleni przeciw jeździe — równoważąc rzutem ciała w tył siłę rozpędu — i stawali na jezdni prościutko — bez żadnego zbytecznego kroku, — okrzykując „Nowy Bajer Warszawski".

I tu przeciskali się niezmordowanie, obładowani butelkami z wodą — proponując usłużnie umierającym z pragnienia: pół litra za „górala".

*

Skwar wysusza ludzi, wyczerpuje więcej niż głód.

Kręcą się pijani ukraińcy. Próbują szczęścia, rewidują ograbionych już w drodze ludzi.

Niektórzy zagadują żołdaków. Chcą wiedzieć co dalej? Kiedy to się skończy?

Ukraińcy wzruszają ramionami, — nie wiedzą. Komendant obozu czeka podobno na rozkaz Niemców. Jeden z Ukraińców częstuje szczodrze papierosami. Szarpie na głowie czarny pierożek i krzyczy z pijacką beznadziejną perswazją:

Po co wam to było? Dlaczego buntowaliście się? Przecież u was magazyny wszystkiego: ubrań, wódki, jedzenia! Co wam było brak? Durni, durni! Nikt z was żywy stąd nie wyjdzie. — Kiwa głową z politowaniem, roztkliwia się do łez: Biedni wy— durni! I zaraz potem: Przyznajcie się: macie złoto? — Dajcie złoto. Wam i tak nic po nim — zgnijecie wszyscy — a ja pożyję jeszcze, pohulam...

Brak chętnych rozwścieca go. Grozi naganem — ciska się do rewizji.

Cenne węzełki wędrują szybko, podawane kryjomo z rąk do rąk, jak pierścień w norwidowskich salonach.

*

Od strony bram rozlegają się strzały dane w górę i nawoływania: „Położyć się! Położyć!"

Rozkaz podawany dalej dochodzi do wszystkich. Ziemia zaległa ludźmi, drży jak robactwo w kloacie. Z za muru, z wizgiem i jazgotem wyfruwają jedne za drugim rozżarzone pociski i giną za placem.

Jedni zrywają się z ziemi, inni leżą struchlali. Zrozumieli: To koniec. Taki właśnie koniec.

„Nie trafili! Następna seria będzie celna". Tłum drepce w popłochu.

Znów pociski... Ci co stali — padają przewróceni powiewem. Pociski znów przeszły nad głowami, a potem z za dalekich zrębów miasta wytrysły białe fontanny rozkłębiając się z chwili na chwilę w czarne dymy pożarów.

„To na Warszawę", — stwierdzono z ulgą, jaką daje cudza a nie własna śmierć — i pędzono do porzuconych przy bramach ogonków.

*

Plac z każdym dniem gęstniał od nowych partii przybyłych z miasta ludzi. Nocami już brakło miejsc leżących i ludzie siedzą pokurczeni i wtuleni w siebie. Nadchodzą wieści o okropnych śmierciach — często bliskich.

Wyczerpani głodem, pragnieniem i strachem o własny los — ludzie słuchają martwo, nie reagują wzruszeniem.

Zwały ludzkie wtopione w żar, rude od słońca, śliskie od potu, naprężone w niesłabnącym rozmachu — napierają nieustępliwie w kierunku bram. Słychać strzały, krzyki, przekleństwa — jeden wzburzony rozgwar rozłażącego się, lecz nie zmniejszającego napięcia.

Wracają, tuląc butelki i blaszanki — półżywi — z szarymi twarzami, z wyschłą skórą. Oto wracają triumfatorzy. Ciskają w swoje gniazda krwawe ochłapy mięsa i naręcza drzewa. Podkasane baby uskrzydlone pękami marchwi, — sypią z kiecek góry złotych kartofli. Przykucają prędko na trawie, i nie tracąc czasu, kroją, skrobią i pędzą z garnkami do ognisk.

Rubensowski kiermasz. Spotworniały kiermasz troglodytów, których radość ze zdobytego żeru i nasycenia nie znajduje jeszcze ujścia w śpiewie i tańcach! Dalej od bram, nachylone ku ziemi życie, rozbite w tysiące grupek, spłaszczone w pozłótce kurzu, wygląda jak w średniowiecznych, iluminowanych religijnych miniaturach z czyśćcem i piekłem, z ciągle powtarzającym się motywem sytych i głodnych, nagrodzonych i potępionych.

*

Skostniałe w bezradnych gestach matki tulą do kolan zamknięte jak perły, zachodzące niebieskim cieniem twarzyczki swych dzieci. Twarze kobiet dojrzewają do krzyku. Naprężone protestem, strachem — aż do pęknięcia — więdną nagle w fałdach wyczerpania. Siedzą głodni z płynącą z czarnych ust śliną — wpatrzeni w jedzących. Wysychają oszukane sto razy gruczoły, a zobojętniałe oczy patrzą z jednakową tępotą na ziemię, buty, marchew, niebo i ciała kobiet rozrzucone byle jak, jak ledwo związane wiązki mięsa.

Pod murem przy licznych, płonących rzędem ogniskach kręcą się ludzie. Pilnują garnków z zupą i pieczonych w popiele kartofli. Gdzieniegdzie smyrli się na rożnie kawał mięsa, to znów w blaszanej rynnie pływają raczuchy, odwracając się zrumienionymi grzbietami i chowając w skwierczącym oleju białe brzuszki.

Między ogniska szerokim spadkiem z pod muru spływa kot.

W rogu placu stoi biały budynek ustępu i długa kolejka kobiet, które rozpierzchają się często w popłochu przed Ukraińcami.

Od budynku ciągnie się rząd mogił. Jest tu najpuściej. Ludzie grzebią szybko swoich zmarłych i odchodzą. Często przynoszą maleńkie czerwone dzieci, rodzące się ciągle na śmierć. Cmentarzyk wzrasta szybko, choć ludzie umierają tu przeważnie „swoją śmiercią" — z głodu.

Bodajże raz tylko zastrzelono człowieka, ojca, który oszalał nad trupem młodziutkiej, zgwałconej przez żołdaków córki.

W górze płasko przylega do murów bardzo niebieskie niebo jak pocztówka: pocztówkowe morze ze skrawkiem dymiącego, skruszonego w słońcu wybrzeża.

Czas przestaje upływać. Nie znaczony żadnym terminem zbliżającej się zmiany, zamknięty w krążeniu krwi, rozsadza mózg, zastyga w czarnych skrzepach.

Po piątej nocy — od rana — rozchodzi się wiadomość, że obóz będzie przeprowadzony na Zachodni Dworzec i tam przekazany Niemcom.

Na terenie „Zieleniaka" była raz jeden tylko wizyta jakiegoś niemieckiego dostojnika. Rozkazano wtedy usiąść wszystkim tak, żeby było przejście przez środek placu, — i odkryć głowy; przeszedł tą drogą i odjechał.

*

Otwarto wreszcie bramy. Tłum pod konwojem Ukraińców — piątkami — wypływa godzinami przed wielkie pola, zmarszczone działkową uprawą i połyskujące słońcem. Potem szlak na Zachodni Dworzec. Ludzie szli wymijając trupy napęczniałe śmiercią, patrząc w martwe złomy, biorąc w siebie nieostygłą twarz zamordowanego Miasta.

EDWARD SZUSTER

I ziemia go przytuli

Słoneczne, czerwcowe południe rozpostarło się ponad lasem pełnym drgającej i ciepłej ciszy. Poprzez korony drzew połyskiwał lekki i odległy błękit. Gałęzie sosen poruszane łagodnym wiatrem popędzały leniwie sunące, rzadkie chmury, a liście pobliskiej brzozy szeleściły cicho. Chrzęst łopat ustał nagle.

— Może już starczy — pytał Sulej ukryty po pas w dole, z którego wnętrza wyrzucony żółty piasek lśnił żywą plamą na poszarzałym od słońca mchu.

— Mało jeszcze — orzekł Tom patrząc krytycznym okiem w głąb dołu — kopcie dalej! Siadł przy Zbroi, który starannie rozkładał ściągnięte ze zmaltretowanych nóg onuce i podał mu papierosa. Palili w milczeniu. Nikłe smużki tytoniowego dymu płynęły w górę rozpuszczając się i ginąc w gałęziach drzew.

Pokryte lasem wzgórze wrzynało się daleko w niżej leżący, zalesiony moczar po którym brodził Szczur zrywając jakieś ubogie kwiatki. U nasady tego leśnego cypla, w skąpym cieniu sosen, rozłożył się Oddział. Wyprzągnięte konie leniwie zażerały swą paszę, a nad kucharskim ogniskiem migotało się i szkliło rozgrzane powietrze. Na końcu wzgórza, ponad moczarem, rosła wśród sosen, w kępie jałowców, biała brzoza, a wpół drogi między nią a biwakiem Oddziału leżał na deskach od wozu, kocem nakryty trup Draba czekając aż kopiący zakończą swą pracę. A oni, właśnie pod brzozą i jałowcem, szykowali mu ostatnią jego kwaterę — kopali grób.

Ataman i Sulej wygramolili się z dołu.

— Teraz wasza kolej — rzekł Tadek podając Zbroi łopatę. Ten podniósł się powoli i skoczył w wilgotną i chłodną wnękę. Tom wpakował się za nim i raźnie zabrali się do roboty. Świeże pecyny żółtego piasku rozsypywały się po mchu i zeszłorocznych zrudziałych igłach sosnowych.

— Lucek, odsuń się, bo ci w buty nasypię! — krzyknął Tom do brata, wywalając mu na nogi pełną łopatę. Sulej zerwał się klnąc i odskoczył o parę kroków. Ataman stał nad Zbroją i patrzył w zamyśleniu na jego pracę.

— Słuchaj no — zagadnął nagle, — czy to aby nie będzie za krótko. Przecież to taki drągal. — Ostatnie słowa wypowiedział prawie szeptem, potem odwrócił się szybko i odszedł powoli nad brzeg moczaru. Do dzisiejszego ranka on i Drab byli parą nierozłącznych przyjaciół.

— Tadek ma rację — zgodził się Tom. — Misisz podebrać ze swej strony na cały sztych. Ja nie mogę, bo podkopałbym całkiem tę brzozę.

Istotnie Tadek miał rację. Drab był chłopem na schwał, jednym z najwyższych w Oddziale. Więc też i grób nie mógł być mierzony miarą przeciętną. Zbroja zabrał się do powiększania dołu odwalając od pionowej ściany wielkie wilgotne bryły. Trochę ciasno było w tym dole i często pracujący potrącali się wzajemnie, ale robota szła szybko.

— Jak się tam który zmęczy, to niech mi da łopatę — oznajmił Longinus siadając przy wyciągniętym opodal Suleju. — Wyniosłem chłopaka z ognia, to mu jeszcze i te przysługę oddam, że mu grób wykopię.

— Toś ty go wyniósł Longin — pytał Tom przerywając kopanie.

— Ja. Razem z Zawieją.

— Byłeś przy nim w czasie akcji?

— No, a jak. Przecież byłem amunicyjnym przy jego erkaemie. Leżeliśmy już na polu, parę kroków przed lasem. Z tej chałupy na lewo dwóch żandarmów pruło co trochę z Bergmanów. A Drab nic tylko posuwał z erkaema po samochodach na szosie.

— Toście byli w silnym ogniu? — zainteresował się Sulej.

— Aż się ziemia przed nami gotowała. Te cholery z chałupy byli najgorsi, bo blisko i nic im nie można było zrobić. No i zabili chłopaka.

— Na stanowisku?

— Nie. Było tak. Jak Komendant dał rozkaz do wycofania się, to ja, jak to amunicyjny, ruszyłem pierwszy. Za nami, na brzegu lasu był rów, który potem przechodził w las. Więc podczołgałem się do tego rowu, a tam to było już całkiem bezpiecznie. No i wołam ci na niego, żeby do mnie dołączył. A on nic. To ja jeszcze raz krzyczę, że czekam na niego. Wtedy wypuścił ci jeszcze ze dwie serie i, patrzę, bierze erkaem do ręki, podrywa się i skokami w moją stronę. Trzy kroki zrobił, zakolebał się i upadł. Zawołał tylko: „ranny jestem". Ja wołam do Komendanta, że Drab ranny, a Komendant: „Longinus i Zawieja, wynieść rannego!". Podczołgałem się do niego z powrotem. Przewracam go na plecy. Już nie żył. Trudno go było zabrać, bo i chłop był wielki i te sukinsyny grzały do nas, ile wlazło. Więc najpierw zabrałem erkaem, a potem to my go z Zawieją na pasku od Stena musieli ciągnąć aż do tego rowu. Tam go już można było nieść na bałyku.

— Nie chciało mu się podczołgać — to i doczekał się. Nie dobrze być za wygodnym — konkludował kiwając głową Sulej.

— Sam sobie winien — mruknął z irytacją Ataman, który wrócił ze Szczurem z nad moczaru. — Mówiłem mu nieraz: „Adam, ty źle skończysz", ale on nie wierzył, że mu się coś stać może. Był za odważny.

Longin zabrał łopatę Zbroi i wziął się do roboty z umiejętnością chłopa i wprawą uciekiniera z Baudinstu. Obok niego parał się ze szpadlem i piachem doktór Szczur, demonstrując prawdziwie inteligencką dobrą wlocę i klasyczny laicyzm w pracy fizycznej.

Tak. Drab był istotnie odważny, a może nawet, jak mówił Tadek, za odważny. Lazł wszędzie, pchał się bez wahania w najgorsze miejsca, przekonany, że nic złego spotkać go nie może. W dzisiejszym porannym boju, w swojej ostatniej walce, zajął najniebezpieczniejsze stanowisko i schodził z niego ostatni osłaniając ogniem wycofujący się z zasadzki Oddział.

— Ale śmierć miał piękną — odezwał się Sulej.

— Zawracanie głowy. Śmierć jest śmiercią i niczym więcej. Dla niego dobrodziejstwem było, że zgon miał szybki i bezbolesny. Tak zresztą bywa zawsze przy postrzałach serca — wymądrzał się z dołu Szczur.

— Eee, pieprzy doktór głupstwa — oburzył się Grad. Polec w osłonie kolegów, to chyba nie to samo, co być zabitym w ucieczce. Niech mnie cholera weźmie, jak to nie jest piękna śmierć!

— Ja ujmuję tę sprawę z punktu widzenia fizjologii — bronił się doktór.

— A ja zwyczajnie, po ludzku.

— No, starczy już biedakowi miejsca — orzekł wyłażąc z dołu Longinus. Siedzieli nad gotowym grobem w milczeniu nie mogąc się oswoić z myślą, że oto tu, w tym żółtym piasku, pozostanie już na zawsze strzelec Drab, żołnierz i ich kolega, a oni opuszczą go pod brzozą i jałowcem, wśród szumiącego mu do snu lasu. Po leśnym szlaku poniesie drużyna swą pierwszą szczerbę, pierwsze opuszczone w szeregu miejsce. A drogę jej znaczyć będą podobne, ciche mogiły, w które los złoży tych, co „polegli i wolni już". I wtedy dopiero znajdzie się odpowiedź na nurtujące dziś wszystkich pytanie: komu z brzega, kto uda się tą drogą, co dziś odszedł od nich dzielny strzelec Drab.

— No i patrzcie chłopaki! A tak krótko był w Oddziale — przerwał ciszę Ataman.

— Tak to już jest, że najlepsi żołnierze giną — dodał filozoficznie Longin. Bo z chwilą gdy skończyli swą grabarską pracę, mieli czas na to, by wspomnieć nie tylko okoliczności, ale też sens i cel Drabowej śmierci. Spoważniały twarze, zamilkli zadumani w tych sprawach, o których myśleli rzadko, a nie mówili nigdy. Bo były za wielkie, za poważne.

Podoficer służbowy Oddziału podszedł do nich szybkim krokiem.

— Gotowe.

Było gotowe.

Za dziesięć minut zbiórka w pełnym oporządzeniu!

Obóz zawrzał życiem. Chłopcy szykowali się szybko i sprawnie i wkrótce Oddział stanął na zbiórce by oddać ostatnią przysługę strzelcowi Drabowi. I pochowali go bez salw honorowych i uroczystych, napuszonych przemówień. Tylko słów kilka żołnierskich usłyszał las nadpiliczny i tylko żółty piasek mogiły wchłonął łzy kolegów żegnających towarzysza broni. I legł strzelec Drab, kocem żołnierskim okryty, w przyciasnym nieco grobie, bez krzyża i innych znaków, jedynie na pniu brzozy wyryli chłopcy jego imię.

— Bo by go jeszcze te ścierwa wyciągnąć mogły i bez pochówka porzucić — wyjaśniał rozgarniając i maskując wzgórek mogilny Longinus.

W poprzednim (15) numerze „Kuźnicy" z dnia 9 grudnia 1945: Władysław Broniewski – Wiersze – Drzewo rozpaczające – Monte Cassino – Wycieczka malarska – Pejzaże palestyńskie – Malaria – Anonim – War pictorial news. Maria Kuncewiczowa – Dom. Adam Szaff – Ks. Piwowarczykowi w odpowiedzi. Mieczysław Jastrun – O pracy pisarza. Ignacy Witz – O Goyi. Irena Chmielewska – Dzieci wojenne. Leon Gomolicki – Konopnicka po rosyjsku – Wstępny rok studiów w szkołach wyższych – Natalia Gąsiorowska. Rozmaitości – Na temat Majora Huberta – Adam Ważyk. Przegląd prasy – ph. Noty. Nowe książki. A. Sz.

ADAM SZAFF

Ks. Piwowarczykowi w odpowiedzi

II

O „TEOLOGII" MARKSIZMU SŁÓW PARĘ

Ks. Piwowarczyk, mówiąc ściśle, nie jest bezbożnikiem, ponieważ jest człowiekiem wierzącym. Ale z drugiej strony i wiara jest też pewnego rodzaju „bezbożnictwem". Tylko więc w znaczeniu szerokim można mówić o bezbożnictwie ks. Piwowarczyka, mianowicie o jego antybezbożniczym stanowisku.

Rozumowanie niczego sobie. Ale ks. Piwowarczyk pretensji mieć nie może. Trzymaliśmy się przecież jak najściślej jego własnego wzoru. Bo proszę posłuchać, co pisze ks. Piwowarczyk w swym artykule o „Teologii marksizmu" (Tyg. Powszechny nr. 32):

„Marksizm, mówiąc ściśle nie ma teologii, jak ma filozofię. Ale z drugiej strony i antyteologizm jest pewnego rodzaju „teologią"... Tylko więc w znaczeniu szerokim można mówić o teologii Marksa, mianowicie o jego antyteologicznym stanowisku".

Tytuł „Teologia marksizmu" jest niezawodnie frapujący. Przyznaję, że zabrałem się do czytania z ogromnym zaciekawieniem, po raz pierwszy spotykając podobną problematykę. Tym większe rozczarowanie, gdy odrazu na wstępie napotyka się na sofistyczne wykrętasy w rodzaju wyżej przytoczonych. Mimo woli przypominają się tricki amerykańskiej reklamy, która zaczyna od detektywistycznej historii, by skończyć na jakimś zachwalanym proszku przeciw pasożytom. W filozofii w każdym razie tak nie wypada. Nawet, gdy dzięki tym karkołomnym sztukom, udaje się wcisnąć artykuły w ramy jakiegoś tradycyjnego podziału: filozofia, etyka, socjologia etc.

Nie będziemy polemizować z tezami ks. Piwowarczyka od strony merytorycznej. Są to zbyt poważne i skomplikowane zagadnienia, by móc je rozwiązać mimochodem. Zresztą stanowisko marksizmu w sprawie religii jest jasne: zasadniczo ks. Piwowarczyk słusznie podkreśla jego węzłowe punkty. Światopogląd marksizmu jest *naukowy* i dlatego sprzeczny z wszelką *wiarą*. Zarazem jednak marksizm występuje zdecydowanie przeciwko próbom tępienia religii siłą, co zresztą ks. Piwowarczyk lojalnie podkreśla (wbrew opinii naszej kołtunerii). Inna sprawa, jak marksizm tłumaczy genezę religii i jak to interpretuje ks. Piwowarczyk. Ale o tym innym razem.

W kontekście omawianego artykułu zatrzymamy się nad poruszonymi tu zagadnieniami natury filozoficznej.

Ks. Piwowarczyk uważa, że zarzuty, jakie Marks stawia chrześcijaństwu, trafiają w próżnię, albowiem traktuje on chrześcijaństwo jako formę idealizmu. Dla ks. Piwowarczyka, jak się okazuje, idealizm jest identyczny z heglizmem. A ponieważ chrześcijaństwo nie uważa Boga za „ideę Absolutu", ale za byt realny, to chrześcijaństwo nie jest kierunkiem idealistycznym.

Musimy stwierdzić, że ks. Piwowarczyk wykazuje wyraźne skłonności sofistyczne. I przy tym, powiedzmy delikatnie, nie uprawia czystej gry. Bo jakoś wierzyć się nie chce, że człowiek tak wykształcony jak ks. Piwowarczyk, nie wie, że idealizm nie jest identyczny z systemem Hegla, że obok idealizmu absolutnego istnieje również subiektywny w różnych odcieniach. Że wreszcie głoszony przezeń pogląd o realnym bycie Boga jest niczym innym, jak skrajnym idealizmem. Czy metafizykę wyprowadzamy z religii, czy też religię z metafizyki, to jest, jak słusznie zauważa ks. Piwowarczyk, spór wewnątrz rodziny. Istoty sprawy to nie zmienia. Jak powiadają, nie kijem go, to pałką. A idealizm pozostaje idealizmem, nawet gdy pozornie skłania się ku swoistemu daulizmowi, w którym materia pozostaje „pod komendą" ducha. Pod tym względem w każdym razie Marks się nie omylił. Argumenty przeciw idealizmowi biją bezpośrednio i w religię i dlatego właśnie ks. Piwowarczyk tak bardzo nie lubi materializmu, i tej wymyślonej przezeń „teologii" marksizmu.

RELATYWIZM I ABSOLUTYZM W MARKSIZMIE

Towarzysząc ks. Piwowarczykowi w jego wędrówkach w dziedzinę marksizmu, dobrnęliśmy w 34-tym numerze „Tygodnika Powszechnego" do „Etyki marksizmu". Okazuje się, że marksizm posiada swoją etykę (jesteśmy tym tak samo zdziwieni, jak byłby zdziwiony ks. Piwowarczyk z naszego odkrycia, że istnieje etyka chrześcijaństwa). Na dodatek otrzymujemy drugie wydanie „teologii" marksizmu, a mianowicie odkrycie, że „w gruncie rzeczy Marks jest zwolennikiem moralności *absolutnej*" (podkreślenie nasze).

Raz jeszcze okazuje się, jak niebezpiecznie jest mówić o rzeczach, których się w zasadzie nie zna. W nauce nie jest to przyjęte. Ale zdarza się w życiu. Do pewnego stopnia można nawet odczuwać podziw wobec ludzi, którzy nie znając strachu, puszczają się na szerokie morze, bez kompasu i wioseł. Nie należy się jednak wtedy dziwić, gdy zaczynają się z nimi dziać dziwne rzeczy. I tak właśnie dziwnie zaczyna się dziać z ks. Piwowarczykiem, gdy błądzi od Marksa „relatywisty" do Marksa „absolutysty" i na koniec nie wie, gdzie prawica, a gdzie lewica. Gdybyśmy byli złośliwi, powiedzielibyśmy: otworzyłby ksiądz „Anti-Dühringa" „Materializm i empiriokrytycyzm", czy chociażby pierwszy lepszy podręcznik materializmu dialektycznego, rozdział „Relatywizm i absolutyzm", i zaoszczędził by sobie poważnej części artykułu. Widać jednak, że są ludzie, którzy mają zamiłowanie do wędrówek w nieznane.

Ks. Piwowarczyk, powołując się na zdanie Marksa w „Nędzy filozofii" o zmienności kategorii moralnych, mianuje go relatywistą antycypującym Durkheima. Przy okazji chciałbym wspomnieć o pewnym nieporozumieniu, które daje się zauważyć nie tylko u ks. Piwowarczyka. Idzie mi o problem bliskości koncepcji Durkheima i Marksa. Opiera się normalnie tę tezę na socjalnym czynniku teorii Durkheima, który rzekomo jest pokrewny ze społecznym ujmowaniem zjawisk przez marksizm. Otóż socjalny moment Durkheima jest zupełnie oderwany od podłoża materialnego, polega na czystym kontakcie świadomości, co go wyraźnie odróżnia od koncepcji marksizmu, jako idealistyczne ujęcie zagadnienia. Oddźwięki socjologizmu Durkheima były bardzo żywe i występują one np. u lingwisty De- Saussure'a, czy u psychologa Piaget. Tym wyraźniej należy określić to, co go różni od marksizmu.

Ale okazuje się, że Marks nie jest po prostu relatywistą. Ks. Piwowarczyk odkrywa Marksa — zwolennika moralności absolutnej. Przy tym, jak wynika z rozważań ks. Piwowarczyka, „relatywizm moralny służy Marksowi do zwalczania dotychczasowej, mieszczańskiej moralności, w gruncie rzeczy zaś Marks jest zwolennikiem moralności absolutnej". Powstaje pewnego rodzaju sprzeczność, względnie co jest gorsze, podejrzenie o eklektyzm u Marksa.

Nie jest naszym zadaniem zastępować w tym miejscu podręcznik materializmu dialektycznego. Ale musimy, chociażby w ogólnych zarysach, dać obraz rozwiązania problemu stosunku relatywnego i absolutnego u Marksa, by pomóc ks. Piwowarczykowi w rozstrzygnięciu dylematu, przed którym się znalazł.

Jak wiadomo teoria marksizmu jest dialektyczna. Tzn. marksizm opiera się o konsekwentną teorię rozwoju, obejmującą przyrodę, społeczeństwo i myśl. I o tyle marksizm nie uznaje nic absolutnego, w sensie niezmiennego, zastygłego. Dialektyka włącza w swój system relatywizm w tym właśnie, wskazanym wyżej znaczeniu.

Ale marksizm nie jest relatywizmem. Poznanie jest dlań procesem, składającym się z cząstkowych, względnych prawd, procesem, który jest jednakże w swej całości absolutny. Nie ma tu ani eklektyzmu, ani sprzeczności. Jak całość składa się z części, tak i prawda absolutna składa się z nieskończonej sumy prawd względnych.

Wszystko jest względne, — uczył Engels, — absolutny jest tylko sam proces zmian. Uznanie prawdy absolutnej wypływa z materialistycznej istoty teorii marksizmu. Byt materialny posiada charakter objektywny, t. zn. niezależny od świadomości poznającego podmiotu. Prawda obiektywna zawiera jednak w sobie inclusive i prawdę absolutną. „Być materialistą — pisze Lenin w „Materializmie i empiriokrytycyźmie" — znaczy uznawać prawdę objektywną, którą odkrywają nam zmysły. Uznawać *obiektywną* to zn. *niezależną od człowieka i od ludzkości prawdę*, — znaczy uznawać w ten lub inny sposób *absolutną* prawdę". I rzeczywiście poznanie wiecznej, absolutnej przyrody samo nosi absolutny charakter. Ale tylko w tym sensie można mówić o prawdzie absolutnej u Marksa. Ten absolutyzm doskonale zgadza się z dialektycznym relatywizmem, ale nie ma nic wspólnego, prócz wspólnego terminu, z tym absolutyzmem, którego ks. Piwowarczyk chciałby się dopatrzeć u Marksa. Tym samym odpadają wszelkie domniemane antynomie i całe zagadnienie zostaje zdemaskowane jako proste nieporozumienie, płynące z nieznajomości przedmiotu.

ETYKA MARKSIZMU I WALKA KLASOWA

No, i na koniec — walka klas. Że na tym musi się skończyć wiedzieliśmy od początku. Stary i wypróbowany chwyt. Marksiści rozbijają jedność narodu, internacjonaliści bez czci i Boga, a my patrioci etc., etc. Wykonanie rozmaite, ale melodia ta sama od lat, od dziesiątków lat. Ponieważ rozmawiamy cały czas językiem filozofii, a więc i do właściwego problemu walki klas prowadzą nas kręte drogi rozważań o etyce (Tyg. Powsz. Nr.34) oraz o socjologii (Tyg. Powsz. Nr. 35). Na poruszone w tych „wstępnych" rozważaniach zagadnienie stosunku świadomości społecznej do społecznego bytu w systemie materializmu historycznego, bezceremonialnie zresztą wypaczone i przekręcone przez autora, odpowiemy wskazaniem na nasz artykuł pt. „Ideologiczna donkichoteria" w 8-mym numerze „Kuźnicy", w którym szerzej zajmujemy się tym właśnie „nieporozumieniem".

Ks. Piwowarczyk podchodzi do analizy etyki marksizmu z punktu widzenia jego celu, t. zn. społeczeństwa socjalistycznego. Środkiem, prowadzącym do tego celu, jest „walka klas jako postulat etyczny!". W ten sposób ks. Piwowarczyk skonstruował domniemaną normę etyczną marksizmu — walkę klasową. Tak stawiając zagadnienie, ks. Piwowarczyk ma, naturalnie, ułatwione zadanie. I my rozumiemy — powiada — konieczność walki klasowej w pewnych skrajnych wypadkach. Podobnie i wojna jest w wyjątkowych wypadkach koniecznością. Najlepszym dowodem tego zrozumienia, kontynuuje ks. Piwowarczyk jest encyklika „Quadragesimo anno", dopuszczająca w ograniczonych formach walkę klas. Po takim patetycznym przemówieniu następuje znany refren, przypominający delikatnie marksistom, że są oni rozbijaczami jedności narodowej. „Co innego jdnak jest, — pisze ks. Piwowarczyk w 34-tym numerze Tyg. Powszch. — gdy twierdzimy, że walka klas jest w pewnych warunkach etycznych usprawiedliwiona, a co innego, gdy się walkę klas stawia jako nakaz etyczny. W tym drugim wypadku bowiem neguje się zasadniczo naturalną jedność narodu i podstawową zasadę życia społecznego: miłość społeczną, czy — jak kto woli — solidarność, braterstwo".

Trudno, trzeba znowu wziąć się do żmudnej roboty „wyjaśniania".

Po pierwsze, skąd ks. Piwowarczyk wziął swe twierdzenie, iż walka klasowa jest normą etyczną marksizmu. Nigdzie w dziełach klasyków marksizmu nie znajdzie ono potwierdzenia. Marksizm posiada swą etykę i swą normę etyczną. Jest nią mianowicie postulat postępowania zgodnie z interesami proletariatu, czy pośrednio zgodnie z interesami większości narodu. To nie umniejsza bynajmniej znaczenia jakie marksizm wiąże z walką klas. Ale faktycznie sprawa wygląda wręcz odwrotnie, aniżeli ją przedstawiają przeciwnicy marksizmu.

Marksiści nie wymyślili walki klasowej, jak im to w zbytniej gorliwości przypisują przeciwnicy. Dawno przed Marksem znali ją historycy epoki Restauracji, jak np. Guizot, Thierry i inni. Nie wymyślili jej również w sensie *narzucenia* tej walki społeczeństwu, jakby to chceli widzieć apologeci dzisiejszego systemu. Klasy społeczne posiadają byt obiektywny, związany z określonym stosunkiem ludzi do środków produkcji. Wymyślać więc tych klas nie trzeba, a można je tylko badać, analizować. Uznają je zresztą tak zwolennicy, jak i przeciwnicy marksizmu, używając tylko różnych terminów dla ich określenia. Natomiast przeciw walce klasowej ogłaszają krucjatę wszyscy obrońcy kapitalizmu. A przecież walka klasowa jest tak samo obiektywna jak i klasy. Wypływa ona z tej samej podstawy, z posiadania względnie nieposiadania środków produkcji. Stosunek do środków produkcji decyduje o interesach poszczególnych klas, a te są podstawą ich stosunków wzajemnych. Jeśli już mowa o *narzucaniu* społeczeństwu walki klasowej, to narzucają ją faktycznie ci, którzy w interesach mniejszości naruszają interes większości społeczeństwa. Nie strajkujące masy robotników wzniecają walkę klasową, broniąc bytu swych rodzin, ale kapitalista, który w celu wzbogacenia się, poświęca interes narodu. Że tak jest, powołam się chociażby na autorytet encykliki „Quadragesimo anno". Ale, powie ks. Piwowarczyk, dla marksistów „klasa istnieje tylko jako przeciwstawienie drugiej, dlatego nie może być między nimi porozumienia" (Tyg. Powsz. Nr. 35). Otóż, nieprawda. Właśnie marksiści są tymi, którzy dążą do prawdziwej jedności narodu, aczkolwiek widzą walkę klasową i otwarcie o niej mówią. A rozbijaczami tej jedności są ci, którzy mając pełne usta patriotyzmu, na każdym kroku poświęcają interes narodu prywacie. Jako dowód niech posłuży chociażby historia wojny przeciw niemieckim okupantom, przeciwstawienie Lavalów, Petainów, Quislingów, Kozłowskich etc. tym masom znanych i bezimiennych bohaterów Ruchów Oporu na całym świecie, którzy rekrutowali się w pierwszym rzędzie z obozu marksistowskiego. Zbędne jest też pouczanie nas o solidarności narodowej, nauka ta winna być skierowana pod zupełnie innym adresem, chociażby pod adresem NSZ-tu. Że istnienie klas bynajmniej nie pociąga za sobą wedle marksistów konieczności walki klasowej, najlepszym dowodem jest Związek Radziecki, w którym istnieją dwie klasy — robotników i chłopów, ale interesy ich nie są antagonistyczne i nie ma wobec tego między nimi walki. Per analogiam możemy powiedzieć, że i w ludowej demokracji, zrodzonej w ogniu walki narodowo - wyzwoleńczej, po zlikwidowaniu wielkiego kapitału, który *narzuca* społeczeństwu walkę klasową, może ona ustąpić miejsca zgodnej współpracy klas w interesie postępu.

Jeśli zaś idzie o obawy ks. Piwowarczyka, że powstałe w wyniku walki klasowej społeczeństwo bezklasowe będzie monotonne i martwe, gdyż zapanuje jednostronny „proletaryzm", to są one płonne. Proletariat istnieje tylko jako przeciwieństwo burżuazji. W społeczeństwie bezklasowym właśnie dlatego, że nie będzie klas, nie będzie i proletariatu. A jeśli ks. Piwowarczykowi nie odpowiada społeczeństwo bezklasowe, to trudno. Ciekawe tylko, czy ta tęsknota za podziałem klasowym społeczeństwa jest oparta na kościelnych autorytetach?

ZAKOŃCZENIE

Dobrnęliśmy do końca. Na razie przynajmniej. Musimy raz jeszcze stwierdzić, że polemika ideologiczna jest rzeczą pożyteczną, a nawet przyjemną, jeśli jest utrzymana w pewnych formach.

Należy jednak rozwiać złudzenie, że nasi przeciwnicy utrzymują ton artykułów ks. Piwowarczyka. Istnieje chór przeciwników marksizmu w prasie prawicowej i klerykalnej. I jak w każdym chórze są i tacy, którzy śpiewają basem. O takim basie chcielibyśmy słów parę powiedzieć na zakończenie.

„Tygodnik Powszechny" jest przeznaczony dla elity. „Gazeta Ludowa" ma szerszy zasięg i dlatego głos jej musi być donioślejszy. To też pan St. Dzikowski przemówił głębokim basem, chcąc być przez wszystkich słyszanym. W swym elaboracie o uczonym tytule „Niedbali pośrednicy — materializm dziejowy we współczesnej literaturze Polski" (Gazeta Ludowa, 18.11. 1945 r.), pan Dzikowski zaczyna od interesujących dociekań nad historią i genezą grupy „Kuźnicy", za co zespół jest bardzo zobowiązany. Następują dalej nie mniej ciekawe dociekania nad istotą materializmu dziejowego. „Propagowany u nas materializm dziejowy — czytamy w artykule — pochodzi z Rosji Radzieckiej". Jak dotąd myśleliśmy, że materializm historyczny, którego ojcami duchowymi byli Marks i Engels, powstał w Niemczech w połowie ubiegłego stulecia. Raczej więc należałoby marksistów polskich oskarżać o niemiecką kontrabandę, a może być wobec tego hitlerowskie sympatie. Jeśli autor tego nie robi, a raczej wybrał Związek Radziecki, to może dlatego, że idzie to po linii pewnej znanej propagandy politycznej. Coś to pachnie epitetem „agenci Moskwy". Nie szkodzi, nie szkodzi. To stary kawał, znamy go. Dalsze wywody, idące po linii obrony irracjonalizmu, nie wymagają odpowiedzi.

Co do jednego ma pan Dzikowski rację. Zarzuca on mianowicie polskim marksistom, że zbyt słabo informują społeczeństwo o nauce i kulturze ZSRR, że nie wypełniają swych przyrzeczeń odnośnie pozytywnego planu kulturalnego. I, niestety, zarzuty te są słuszne. Zaznaczyliśmy już na wstępie, że więcej się dziś pisze o marksizmie na prawicy, niż na lewicy. I to jest źle, bardzo źle. Ten brak daje się odczuwać, chociażby w artykułach ks. Piwowarczyka. Należy społeczeństwo zaznajomić z marksizmem, a wówczas mniej będzie popełniało błędów. A któż to ma robić? Chyba nie ks. Piwowarczyk, choć bardzo gorliwie wziął się do dzieła. Boję się narazić na nowy przytyk p. Dzikowskiego, ale myślę, że w dziedzinie teorii ta luka będzie wkrótce zapełniona.

Adam Szaff

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Kolorowi ludzie

Przeciętny konsument prasy codziennej, czytając chaotyczne i urywkowe wiadomości z obszarów południowo - zachodniego Pacyfiku, z dalekich krajów Indochin i Indonezji, porzuca szybko tę lekturę z uczuciem zniecierpliwienia i dezorientacji. Rozgrywające się tam w gorączkowym tempie wypadki sprawiają na pierwszy rzut oka wrażenie jakiejś „wojny wszystkich przeciw wszystkim" — i trudno zaiste przedrzeć się przez tę dżunglę sprzecznych i niejasnych informacyj bez głębszej świadomości sensu i znaczenia tych dziwnie splątanych i krwawo tajemniczych wydarzeń.

Bo choć już trzy miesięce upłynęły od urzędowego niejako zakończenia wojny na Dalekim Wschodzie, choć pokonany agresor japoński zaczął już płacić wysoką cenę poniesionej klęski, nie ma dotychczas spokoju ni pokoju na wielkich obszarach kolonialnych francuskich, angielskich, holenderskich, a ludy tam zamieszkałe znajdują się wciąż w stanie wojennego i politycznego fermentu. Wielka wojna pomiędzy Japonią a narodami zjednoczonymi rozdrobniła się teraz w krajach kolonialnych na szereg wojen i starć lokalnych, cząstkowych o bardzo charakterystycznym i godnym uwagi obliczu. Wytwarza się magiczny krąg wrogości i nienawiści, ociekający krwią Europejczyków i kolorowych.

Przyczyny tych wszystkich skłóceń i zaburzeń, wprawiających w stan konsternacji nie dość świadomego obserwatora, szukać należy w tym niewątpliwym fakcie, że druga wojna światowa w stopniu daleko wyższym niż pierwsza rozkołysała i spotęgowała dążenia wolnościowe ludów kolonialnych, uskrzydliła ich emancypacyjne nadzieje, wzmocniła ich wiarę w możliwość pozbycia się znienawidzonej kurateli rządów imperialistycznych. Dziesiątki milionów mieszkańców Indochin i Indonezji mają dość opieki europejskiej, opieki, której treścią były: bezmierny wyzysk, totalna eksploatacja i do granic nieludzkości doprowadzone uciemiężenie. Kolorowe ludy krajów Pacyfiku pragną dziś ucieleśnić wreszcie swe święte sny o wolności i niepodległości, tak samo jak narody Indyj Wschodnich, Egiptu, Syrii, Libanonu. Pariasi świata, różnojęzyczni kulisi imperiów kolonialnych, najmici i niewolnicy, trwający w nędzy i poniżeniu, pragną wreszcie zrzucić kajdany wieloletniego ucisku, nie chcą już dłużej swoją krwią i potem tuczyć zachłannego europejskiego kapitalizmu, który na kolonialnej eksploatacji właśnie fundował swoją potęgę i dostatki.

Indochiński komitet rewolucyjny, tzw. Wijet - Ming, złożony z przedstawicieli siedmiu partii — od komunistów do nacjonalistów włącznie — i reprezentujący wolę 25 milionów Annamitów, proklamował uroczyście niepodległość Annamu i ogłosił ostateczne zerwanie z Francją, anulując wszystkie zawarte z nią pakty i umowy. W deklaracji niepodległościowej, która powołuje się na zasady praw ludzkich i obywatelskich, ogłoszone w r. 1776 przez Amerykę północną, a w r. 1791 przez rewolucyjną Francję, sformułowany też został zwięzły lecz wymowny akt oskarżenia pod adresem imperialistów francuskich. Posłuchajmy:

„Zbudowali oni więcej więzień niż szkół, bezlitośnie karali ludzi, których jedynym przestępstwem była miłość ojczyzny. Topili we krwi wszystkie dążenia do niepodległości. Tłumili opinię publiczną i utrzymywali ciemnotę. Wykorzystali opium i alkohol dla zniszczenia naszych narodów. Ograbili nas gospodarczo, skazali nasz naród na nędzę. Kierując się chciwością, zagarnęli nasze plantacje ryżowe, nasze ziemie, nasze lasy, nasze kopalnie i nasze surowce. Zagarnęli monopol na emisję banknotów, na import i na eksport. Wprowadzili mnóstwo niesprawiedliwych podatków, ażeby zubożyć naszych rodaków, zwłaszcza naszych chłopów i kupców. Pozbawili nas prawa własności i zamknęli nam dostęp do dobrobytu"... Ten akt oskarżenia — to synteza losu wszystkich ludów kolonialnych i rzeczowy rejestr grzechów europejskich eksploatatorów.

Cesarz Annamu — Bao Daj zrzekł się tronu, oddał władzę w ręce komitetu rewolucyjnego i zajął skromne stanowisko doradcy Tymczasowego Rządu Indochin. W wezwaniu, skierowanym do radia paryskiego oraz do socjalistów i komunistów francuskich, b. cesarz woła: „Wzywam odpowiedzialnych kierowników Francji, ażeby uświadomili sobie istniejącą sytuację i zapobiegli niepożądanym incydentom. Jeśli jednak to nieszczęście będzie nieuniknione, będę walczył jak zwykły żołnierz, ramię w ramię z moimi rodakami w szeregach armii naszej nowej republiki, będę walczył na śmierć i życie o wolność mego kraju".

Trzeba podkreślić, że enuncjacje niepodległościowców indochińskich, atakując ostro imperialistów francuskich, manifestują stale i z naciskiem uczucia sympatii i przyjaźni względem francuskiego narodu, który nazywany jest w tych oświadczeniach narodem „idealistycznym, rozmiłowanym w wolności, dążącym do ustanowienia pokoju na całej kuli ziemskiej". W parze z tym odżegnywaniem się od zacofanej i bezmyślnej ksenofobii idzie konsekwentne podkreślanie antyjapońskiego i antyfaszystowskiego stanowiska Wijet - Mingu. Niepodległościowcy indochińscy z dumą powołują się na to, że gdy w r. 1940 francuskie władze Indochin skapitulowały haniebnie — na rozkaz z Vichy — przed okupantem japońskim, oni — rewolucjoniści Annamu — walczyli nieubłaganie z Japończykami, aż do dnia ich klęski, i nie poddali się nigdy jarzmu „podwójnej okupacji".

Apele Tymczasowego Rządu Indochin i jego przywódców nie odniosły, jak dotychczas, skutków praktycznych i nie wpłynęły na zmianę polityki administracji francuskiej, rewindykującej — wśród licznych starć orężnych — swe dawne uprawnienia i przywileje. W Sajgonie, Tonkinie i wielu innych portach i miastach indochińskch trwają bez przerwy krwawe incydenty, sytuacja wciąż jest chwiejna i niepewna. Przedstawiciele administracji francuskiej nazywają oddziały annamickie „bandami anarchistów i rozbójników" i chwalą się od czasu do czasu pewnymi sukcesami w walce z tymi „bandami". Ale — mimo aktywnej pomocy wojsk brytyjskich, które mają pozostać w Indochinach aż do ponownego ustalenia się administracji francuskiej, nic jeszcze nie wskazuje na to, by „pacyfikacja" rozległego (863,000 km. kw.), pełnego przeszkód naturalnych, kraju mogła być dokonana w niedalekiej przyszłości — i trudno sobie wyobrazić, by ta przyszłość mogła być identyczna ze stanem rzeczy, jaki istniał na terenie Indochin przed wojną, w ciągu 80 lat eksploatacji tego kraju przez imperializm francuski.

Bieg aktualnych wypadków w holenderskich Indiach Wschodnich przypomina bardzo sytuację w Indochinach. Przywódca jawajskiej partii narodowej dr Soe Karno utworzył koalicyjny rząd niepodległej Indonezji i wzorem annamickiego Wijet - Mingu proklamował zerwanie wszelkich związków z Holandią. Dr Soe Karno jest nieprzeciętną osobistością polityczną i od lat dwudziestu zgórą pracował nad organizacją ruchu niepodległościowego wśród inteligencji i robotników jawajskich. Soe Karno jest synem nauczyciela licealnego, skończył uniwersytet w Bandung, poczem pracował jako inżynier. W r. 1930 został aresztowany przez władze holenderskie i skazany na czteroletnie więzienie. Zwolniony przed terminem na skutek interwencji holenderskich socjal - demokratów, podjął

na nowo działalność polityczną, zakładając tzw. Partię Indonezji. Po paru latach nastąpiło znów aresztowanie i zesłanie Soe Karna na małą wysepkę — Banda. Tu zastała go inwazja japońska. Okupanci, wygrywając i podsycając do czasu ambicje wolnościowe ludów kolonialnych, zademonstrowali swą wyrachowaną życzliwość i wobec niepodległościowców Indonezji. Pozwolili im na utworzenie Tymczasowego Rządu, na którego czele stanął Soe Karno i b. jego współpracownik — Hatta.

Do tej chwili, administracja holenderska nie objęła jeszcze władzy na Jawie. Wyspa zajęta została przez wojska brytyjskie, które sprawują zarząd prowizoryczny, deklarując neutralność w sporze pomiędzy Holandią a ludnością tubylczą. Anglicy twierdzą, że chodzi im tylko o zapewnienie ładu, bezpieczeństwa i względnej normalizacji życia publicznego, zaś co do przyszłej prawno - politycznej sytuacji Indonezji Rząd holenderski powinien jak najszybciej zająć wyraźne i zdecydowane stanowisko.

W tej mierze istnieje bowiem tylko ogólnikowa deklaracja królowej Wilhelminy z grudnia 1942 roku, wydana jeszcze w warunkach trwającej wojny i przewidująca „jednakowy statut dla wszystkich części Królestwa". Taka elastyczna formuła zawrzeć może treść rozmaitą, wątpliwe jednak czy praktyczny jej odpowiednik zdoła zadowolić walczących o zupełną emancypację mieszkańców Indonezji. Stosunek Rządu holenderskiego do dra Soe Karno i jego poczynań jest wyraźnie negatywny. Władze holenderskie nazywają go człowiekiem o nieustalonych i chwiejnych poglądach politycznych i odrzucają możliwość jakichkolwiek z nim pertraktacji. Inne jest jednak stanowisko lewicy holenderskiej, która, z partią komunistyczną na czele, zgłosiła swą solidarność z ruchem niepodległościowym Indonezji, wzywając zarazem robotników portowych i marynarzy, by nie dopuszczali do transportu wojsk i sprzętu wojennego na Jawę. Taką samą decyzję powzięły organizacje robotnicze Australii, skąd transporty tego rodzaju przede wszystkim mogą być kierowane.

Jednym z istotnych i znamiennych elementów sytuacji na obszarach południowo - zachodniego Pacyfiku jest bardzo czynna i bezwzględna interwencja wojsk brytyjskich w imię ochrony „porządku i bezpieczeństwa". Czy to w drodze zbrojnych wystąpień, jak w Indochinach, czy też za pomocą manewrów mediacyjnych, jak w Indiach Holenderskich, starają się Anglicy opanować ruchy powstańcze i nie dopuścić do ich decydujących sukcesów. Wszystkie te zarządzenia cywilnych i wojskowych władz brytyjskich mają — rzecz prosta — na celu nie tyle obronę kolonialnych interesów Francuzów bądź Holendrów, ile — zabezpieczenie własnego stanu posiadania przed możliwością antyimperialistycznych, wolnościowych wybuchów. Bo ruchy emancypacyjne, manifestowane dziś tak żywo przez ludy kolonialne, są jak płomień, podsycany poczuciem wiekowych krzywd i ogarniający coraz dalsze i nowe obszary. Przed niebezpieczeństwem tego pożaru strzec się muszą czujnie ci, dla których wolność kolorowych ludzi oznacza koniec obcego nad nimi panowania, a więc utratę zysków i korzyści, czerpanych przez metropolię z eksploatacji zamorskich posiadłości. A trzeba pamiętać, że w Indiach Wschodnich, w Birmie, na Malajach nagromadziło się w ciągu lat ostatnich bardzo wiele łatwopalnego, grożącego niepodległościową eksplozją, materiału.

Wątpić jednak należy, czy polityka prewencyjnych środków ostrożności, uprawiana przez mocarstwa kolonialne z wielkim nakładem sił i środków, osiągnie na dalszą metę skutek przez te mocarstwa zamierzony. Głębokie przeobrażenia polityczne i społeczno - gospodarcze, odbywające się dziś w państwach europejskich, zmieniają nie tylko ich strukturę wewnętrzną lecz muszą wywrzeć też swój wpływ na całość zagadnienia, określanego mianem polityki kolonialnej, tego systemu nowoczesnego niewolnictwa. Niezależnie od stanowiska Rządów, popieranych w tych czy innych krajach przez kapitalizm imperialistyczny, do świadomości mas ludowych dociera coraz powszechniej przeświadczenie, że w polityce kolonialnej nie da się żadną miarą utrzymać dotychczasowy stan rzeczy, że stosunek Europy do ludów kolorowych oprzeć się musi wreszcie na zasadach sprawiedliwości, braterstwa i humanitaryzmu. Wśród warstw społecznych, które coraz śmielej sięgają po władzę dla budowy nowego porządku świata, upowszechnia się idea, że tak jak niepodzielny jest pokój, tak samo niepodzielna jest wolność i kultura ludzkości i że pomiędzy tymi trzema zasadniczymi elementami bytu społeczeństw istnieją ścisłe związki współzależności.

Bolesław Dudziński

JAN SZCZEPAŃSKI

Nauka i metafizyka

Rozwój stosunku nauki do metafizyki jest szczególnie interesującym rozdziałem historii kultury. Stosunek ten nigdy nie był sprawą czysto naukową, rozgrywającą się w ramach samej nauki i dotyczącą tylko uczonych specjalistów, lecz walką o emancypację powstającej nauki spod wpływu takiej czy innej postaci metafizyki, później walka o usunięcie pozostałości, czy prób penetracji metafizyki do nauki, zawsze znajdowała swoje echo i następstwa w starciach społecznych i kryzysach ogólnokulturalnych. Historia stosunku nauki do metafizyki jest pouczającym przykładem społecznej determinacji dziedzin kultury pozornie zupełnie oderwanych od wpływów społecznych. Praca uczonego jest zdeterminowaną historycznie i społecznie, dokonywując się zawsze pod „kontrolą" określonych grup społecznych. W początkach rozwoju myśli kontrolę tę sprawowały grupy szersze aby w miarę rozwoju specjalizacji poszczególnych dziedzin myśli, przekazać ją specjalnym grupom zawodowym jak uniwersytety, towarzystwa naukowe i t.p. Mówiąc o kontroli mamy tu na myśli nie tylko formalną kontrolę władz wszelkiego rodzaju, lecz przede wszystkim ten typ nacisku społecznego, którego wyrazem jest opinia, a który wymaga od uczonego spełnienia jego grupowo określonej roli społecznej. Wyrazem kontroli społecznej nad pracą naukowców jest represja w stosunku do teoryj, które wydają się niebezpieczne dla grup kontrolujących.

Rzućmy parę przykładów historycznych. Powstająca nauka grecka, zresztą jeszcze przesiąknięta metafizyką, przynosi pierwsze ofiary konfliktu nauki z grupowo ustalonym poglądem na świat. Anaxagoras został skazany na śmierć za swoje poglądy astronomiczne. Protagoras oskarżony i wygnany za poglądy teologiczne. Sokrates przypłacił życiem próbę stworzenia etyki. W wiekach średnich listę tę kontynuują Roger Bacon, wielu uczniów Ockhama, a później Giordano Bruno, Galileusz i tylu innych, skończywszy na zamykaniu „niewygodnych" uczonych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Metafizyka, chociaż stwarzana i formułowana przez filozofów, najczęściej stawała się oficjalną nauką pewnych grup społecznych (państwo, kościół) i w roli podstawowej wartości grupowej, broniona była przed wszelkimi atakami krytycznymi, jako godzącymi nie w takie czy inne abstrakcyjne zasady, lecz w byt danej grupy społecznej.

W historii nauki teoretycznej (a więc poza rozważaniami pozostawiamy rozwój umiejętności praktycznych, nie negując ich kolosalnego znaczenia dla rozwoju nauki), metafizyka była pierwszą postacią, pod jaką wystąpiła ludzka myśl teoretyczna. Dopiero z biegiem czasu w łonie samej metafizyki wyodrębniły się poszczególne dyscypliny filozoficzne, dając z kolei początek naukom szczegółowym (wykorzystującym zarazem zdobycze umiejętności praktycznych). W miarę doskonalenia się metodologicznego i w miarę rozwoju logiki i matematyki, nauki szczegółowe przeprowadzały rewizje swoich założeń i twierdzeń, usuwając coraz to inne dogmatycznie przyjęte „oczywistości", w rygorystycznym dążeniu do oparcia poznania na podstawach uzasadnionych naukowo a nie metafizycznie. Dążności te cechowała postawa bojowa. Naukowcy walczący z dogmatami i urojeniami metafizyki, hamującymi postęp nauki, byli społecznym typem bojowników - rewolucjonistów.

Celem i naczelnym zadaniem metafizyki jest stworzenie poglądu na świat. Nie ma człowieka bez poglądu na świat, nie ma człowieka bez metafizycznego poglądu na sprawy przez naukę niewytłumaczone. Dążności konformistyczne grup społecznych „ułatwiają" jednostce zaspokojenie tej potrzeby posiadania poglądu na świat, dając jej pogląd poparty autorytetem grupy. Z konieczności więc walka przeciwko poglądom metafizycznym łączyła się z walką przeciwko systemom społecznym, stanowiącym oparcie tych poglądów. Nie było więc rewolucjonistów, którzy by nie czerpali natchnień i argumentów ze zdobyczy nauki, a te zdobycze nauki tworzyli naukowcy „bojownicy prawdy". O ilustracje historyczne nie trudno. Wystarczy wymienić grupę filozofów oświecenia francuskiego; oni to stworzyli zasady, w imię których została przeprowadzona rewolucja francuska; zdobycze naukowe socjalistów stały się podstawą rewolucji październikowej. Przykładów mniej doniosłych historycznie można by podać wiele.

W rozwoju myśli nadszedł okres kiedy bojowość nauki dorównała bojowości metafizyki. Filozofowie zorientowani empirycznie i pozytywistycznie nie tylko wykazywali, że zagadnienia metafizyki nie pozwalają się rozwiązać metodą naukową, że metafizyka jest „bezsensowną gadaniną", lecz rozpoczęli walkę z istnieniem wszelkiej metafizyki. Tak np. pisał Hume (1711 — 1776): „Gdy bierzemy do ręki książkę z dziedziny teologii lub metafizyki, to musimy zapytać: czy zawiera badania nad wielkością i liczbą, prowadzone drogą czystego rozumowania? Nie. Czy zawiera badania nad faktami i istnieniem? Nie. To należy wrzucić ją w ogień, gdyż może zawierać jedynie fikcje i złudzenia". Pozytywizm wywodzący się z filozofii A. Comte'a nie tylko zwalczał metafizykę w ramach nauki, lecz dążył do zniszczenia metafizyki w ogóle. Nowsze kierunki pozytywizmu zmierzały do wyłączenia i unicestwienia metafizyki przez precyzację empirystycznej definicji zdania sensownego. Chodziło o wykazanie, że zdania nieempiryczne (metafizyczne) są bezsensowne, a więc nie warto się nimi zajmować. Przy czym jako zdania sensowne uznawano tylko te zdania, które są, lub pozwalają się logicznie sprowadzić do zdań protokółujących spostrzeżenia. Ten „pozytywistyczny radykalizm zniszczył nie tylko metafizykę, lecz także nauki przyrodnicze. Bowiem i prawa przyrody nie są logicznie sprowadzalne do elementarnych zdań spostrzegawczych". (K. Popper: Logik der Forschung, Wien 1935). Zarzuciwszy więc próby unicestwienia metafizyki, Popper widzi zadanie logiki poznania w tym, żeby ściśle zdefiniować pojęcia nauki i metafizyki a zarazem ustalić oddzielające je *kryterium odgraniczenia*. W ten sposób przedstawiciel skrajnego kierunku neopozytywistycznego doszedł do przekonania, że metafizyka ma swoje miejsce w świecie myśli ludzkiej, zupełnie inne niż nauka i zupełnie od niej niezależne. Widzi on nawet w metafizyce strony dodatnie: „nie można zaprzeczyć, że obok metafizycznych sposobów myślenia, które hamowały rozwój nauki, istnieją również takie, które temu rozwojowi służyły". „I przypuszczamy, że badanie naukowe, widziane psychologicznie, zapewne w ogóle nie jest możliwe, bez jakiejś — naukowo nie nadającej się do dyskusji, a więc jeśli ktoś chce „metafizycznej" — wiary, w teoretycznie często w najwyższym stopniu niejasne idee".

Nauka oczyściła swój teren wyrugowawszy metafizykę, a przynajmniej metodologowie nauk ścisłych wypracowali narzędzia oczyszczenia nauki. Że nie wszyscy naukowcy chcą z nich korzystać, o tym pisze z żalem i wyrzutem L. Chwistek w książce „Granice nauki", wskazując fatalne skutki przyjmowania metafizycznych założeń jako podstawy nauki. Lecz sprawa nie kończy się na tym, że precyzja logiczna nauki pozwoli jej odgrodzić się od metafizyki. Metafizyka jest nie tylko logicznie niebezpieczna dla nauki, nie tylko może prowadzić na manowce badania naukowe, lecz pewne typy doktryn metafizycznych mogą mieć katastrofalne konsekwencje społeczne. Istnieją swoiste typy społecznego mistycyzmu, leżącego zazwyczaj u podstaw ideologii i ruchów politycznych, będących najczęściej metafizycznymi urojeniami, które mogą powodować reakcyjne zastoje w nauce i wsteczne przewroty społeczne. Metafizykę narodowego socjalizmu intelektualiści naukowcy zbywali wzruszeniem ramion — bezsensowna bzdura nie zasługująca na uwagę — a skończyło się obozami koncentracyjnymi dla naukowców oraz m. in. taką notatką w niemieckiej encyklopedii: „Einstein, żyd, wymyślił bzdurną teorię względności".

Czymże więc jest metafizyka?

Wiele jest pytań, do których w sposób nieunikniony dochodzi każdy człowiek zdolny do refleksji. Można by nawet przypuścić, że stawianie tych pytań jest istotną cechą człowieka. Są to pytania o przyczyny, cele, istotę i sens zjawisk. Na niektóre odpowiada nauka, inne odrzuca ze względów metodologicznych. Na inne odpowiada religia. Religja zawsze wymaga wiary. Wiara jest rezygnowaniem z wielu wysokich wartości ludzkich i na takie poświęcenie nie wszyscy chcą się zgodzić. Ci zaczynają szukać w metafizyce. Wielość pytań nieuniknionych pozwala się sprowadzić do kilku zasadniczych. Uczynił to Kant zestawiając słynne cztery antynomie dotyczące skończoności, podzielności, wolności i konieczności świata. W życiu codziennym pytaniem nieuniknionym, które każdy człowiek kiedyś sobie stawia, jest pytanie o sens wszelkiego bytu. Sens życia, sens cierpienia, sens dążeń i walk ludzkich. Poco to wszystko? Tu dochodzimy do podstawowego źródła metafizyki. Gdyż każdy człowiek znajduje jakąś odpowiedź na to pytanie, i to nie odpowiedź dorywczą, lecz jakąś, chociażby najbardziej mglistą, koncepcję całości świata i umieszczenie swojej osoby, trosk i dążeń w tej całości nadaje im sens.

Metafizyka jest więc dziedziną myśli, w której każda jednostka szuka indywidualnego uzasadnienia i usprawiedliwienia swojego działania. Cele metafizyki są praktyczne. Żaden system metafizyki nie był i nie jest teorią, podobnie jak nie jest teorią jakakolwiek powieść. System metafizyki rozwija poprzez rozumowania pewne twórcze pomysły. Wtedy metafizyk postępuje podobnie jak naukowiec budujący teorię jakiejś dziedziny zjawisk, z tą różnicą, że metafizyk nie stara się o empiryczną weryfikację (wzgl. falsyfikację) swoich tez. Teoria naukowa jest logicznie powiązanym kompleksem hipotez i praw stanowiących rację zdań o faktach, i przez to fakty te wyjaśniających. System metafizyki służy innym celom. Nie szuka związków między faktami, lecz sensu istnienia tych faktów. Z punktu widzenia nauki jest to poszukiwanie bezsensowne. Metafizyki jednak nie krępują rygory nauki. Dla nauki najważniejszym nakazem jest logiczna poprawność jej struktury teoretycznej (jako gwarancja rzetelności wiedzy o faktach), dla metafizyki — odpowiedź na pewne nieuniknione pytania, które nauka odrzuca jako źle postawione, ale na które każdy człowiek chce znaleźć odpowiedź. Bo każdy człowiek chce opierać swoje postępowanie na pewnych wzorach, kierować się jakimiś normami, a wobec istnienia wielości norm sprzecznych, musi posiadać jakieś zasady wyboru tych norm. Inaczej mówiąc, każdy człowiek musi uznawać pewną hierarchię wartości, pewne wartości uznawać za wyższe, godne dążenia i wysiłku. Stąd konieczność poglądu porządkującego świat i stąd znaczenie metafizyki, która ten pogląd daje.

Metafizyk nie prowadzi badań empirycznych i nie oblicza, ale stwarza *wizję*. Poglądu swego nie narzuca innym, nieodpartą oczywistością intersubiektywnie sprawdzalnego dowodu logicznego, lecz sugestywną wzniosłością swej wizji, względnie jej mistycznym urokiem. W życiu codziennym spotyka się jednak najczęściej poglądy metafizyczne, niekoniecznie ujęte w zwarty system, oparte na „zdrowym rozsądku", będące racjonalizacjami i usprawiedliwieniami ludzkich „słabości" i wad.

Dając pogląd na świat, metafizyka daje zarys pewnej całkowitej struktury bytu i przez przyporządkowanie poszczególnych elementów bytu tej strukturze, zyskują one swoje znaczenie i sens. W metafizyce chrześcijańskiej sensem cierpienia jest to, że przygotowuje do zbawienia, sensem pokorności i maluczkości ducha jest królestwo niebieskie, jako nagroda za nie. Gdyby poglądy metafizyczne były zawsze i wszędzie wyrazem indywidualnych i wolnych upodobań, metafizyka zajmowała by spokojnie swoje miejsce obok poezji i muzyki i materialiści z upodobania żyliby zgodnie obok spirytualistów.

Lecz metafizyka jest przede wszystkim sprawą poglądu na świat uznawanego i sankcjonowanego społecznie. Gdy za bzdurną a demagogiczną metafizyką stanie brutalna siła zorganizowanych grup, których siłą jest ich nietolerancja równa ich ingorancji, wtedy metafizyka staje się nieszczęściem ludzkości. Metafizyka narodowego socjalizmu, stwarzająca wizję rasy wybranej dla panowania nad światem i organizująca olbrzymi potencjał polityczny i gospodarczy dla urzeczywistnienia swojej wizji — powinna być nie tylko krwawym ostrzeżeniem, więcej: intelektualiści - naukowcy muszą wyciągnąć z historii wnioski. Okazało się, że nauka nie może zamknąć się poza swoim kryterium odgraniczenia. Świadomi swojej odpowiedzialności, naukowcy nie powinni dopuścić do podporządkowania nauki mistycyzmowi, do rozrastania się w społeczeństwach bzdurnych i niebezpiecznych koncepcyj metafizycznych. Nie przeceniamy społecznego znaczenia koncepcyj ideologicznych, lecz podkreślamy jako zadanie intelektualistów dążenie do tego, by każdy członek społeczeństwa umiał znaleźć swój pogląd na świat w zgodzie z naukowym krytycyzmem, by jego hierarchia wartości, była godną człowieka rozumnego. Tylko wtedy unikniemy niebezpieczeństwa mobilizacji nauki dla celów niszczenia cywilizacji zamiast dla jej tworzenia.

Nauka i naukowe myślenie powinny stać się dobrem wszystkich.

Rozmaitości

Dwa razy dwa

Od roku produkcja i eksploatacja filmów jest scentralizowana w instytucji państwowej p. n. „Film Polski" i poza tygodniowymi kronikami nie pokazano publiczności ani jednego nowego filmu polskiego. W prasie odzywają się głosy zniecierpliwienia. Przedstawiciele kinematografii tłumaczą, że wyprodukowanie filmu jest skomplikowanym procesem przemysłowym. Przedtem trzeba wybudować odpowiednie atelier, potem sprowadzić odpowiednią aparaturę. Właśnie atelier wybudowano i nastąpiło uroczyste otwarcie, pochwały, życzenia, przemówienia, owacje. Wybudowanie atelier to poważne osiągnięcie techniczne, ale to dopiero stadium przygotowawcze. Filmowcy wzięli na siebie ciężkie zadanie. Nie najszczęśliwsze wybrali metody, aby swoją pracę spopularyzować. W prasie ukazują się od pewnego czasu pochlebne wzmianki o gotowych już jakoby filmach średniometrażowych. A więc jednak... Były próby nakręcania i co więcej, próby reklamy zawczasu. Wzmianki nie pochodzą od dziennikarzy, którzy oglądali te próbki nowych filmów, rozsyła je po prostu wydział prasowy wytwórni i niepotrzebnie się trudzi.

Miałem okazję obejrzeć jeden z filmów średniometrażowych. Nazwano go: „Dwa razy dwa jest cztery". Miał to być film pouczający, realizatorzy chcieli zohydzić szabrowników i spekulantów, trutniów i malkontentów, pochwalić pracę nad odbudową kraju. Zaplątali się w motto z Mickiewicza i wielokrotnie starali się apelować do ludzkiego serca. Realizacja tego filmu nie jest chybiona, ale jest źle poczęta, bo sprzeniewierza się zasadom realności filmowej. Pokazują nam entuzjastę pracy, który na ulicy i w tramwaju sam się do siebie śmieje. Innymi słowy człowiek ten zachowuje się jak pomyleniec. Kobieta, która wielokrotnie obraca głowę przed lustrem na dowód, że nie chce pracować, to znowu przykład innego, melancholijnego pomylenia. Spekulanci i szabrownicy siedzą na ławkach jakiejś sali szkolnej, wysłuchują nagany z ust nauczyciela, który im czyta Mickiewicza, nie dają się przekonać i wycofują się bardzo wystylizowaną grupą. Skąd się tam wzięli i w jakich okolicznościach? Dlaczego się tak dziwnie zachowują? Na te proste pytania nasi filmowcy odpowiedzą, że jest to specjalny gatunek filmu — felietonu, że nazwano go plakatem, jak gdyby nazwą można było usprawiedliwić szaleństwo. Albo może odpowiedzą, że przecież kiedyś w eksperymentalnych filmach francuskich pokazywano krowę na fortepianie. To prawda, ale ta krowa nie miała zamiaru mówić nam o działaniu ludzkim, ani o bolączkach społecznych. Zasada realności filmu wymaga, aby człowiek na ekranie zachowywał się tak, jak gdyby był przez realizatora podpatrzony w swoim życiu codziennym, a nie tak, jak gdyby miał wyrażać myśli realizatora.

Przytaczam przykład źle poczętego filmu nie po to, aby się natrząsać z wysiłków naszych filmowców. Na czele organizującego się życia filmowego stoi człowiek jaknajlepszej woli, ideowy, oddany sprawom sztuki kinematograficznej. „Dwa razy dwa" realizował bardzo zdolny młody reżyser. Ludzie ci doskonale wiedzą, że bez osiągnięcia wysokiego szczebla technicznego nie będzie dobrego filmu i krzywdzi ich niecierpliwość opinii domagającej się natychmiastowej realizacji wielkich planów. Aleksander Ford skupił dokoła siebie przedwojennych zapaleńców i eksperymentatorów, którzy dawniej, nie dopuszczani do roboty w komercjalnych warunkach prywatnej produkcji filmowej, starali się przeciwstawić bardzo zresztą ubożuchnemu rutyniarstwu rodzimego kunsztu kinematograficznego, Ci ludzie, traktujący film jako sztukę, z łatwo zrozumiałym opóźnieniem przeżywali techniczne zapały eksperymentatorów, pociągały ich chwyty techniczne, oryginalne ustawienia obiektywu, nieograniczone na pozór możliwości montażu. Nie zdążyli przekonać się do kunsztu realizatorów amerykańskich, który polega na dyskretnym ukrywaniu środków technicznych. Zdaje się, że to obciążenie dawnych aspiracji może poważnie odbić się na naszej kinematografii.

Filmowców naszych jest garstka niewielka. Nie mamy innych, i ci właśnie powinni wyrosnąć na przyszłych realizatorów. Skazani są na uprawę kosztownej i trudnej dziedziny, która jest i przemysłem i sztuką. O przemyśle mówią z Ministerstwem. Z kim mówią o sztuce? To są również sprawy fachowe — wiadomo, ale nie trzeba przesadzać w dufności. Wytwórnia centralizująca całe życie filmowe nie powinna wyglądać jak odcięty fosami zamek feudalny, do którego od czasu do czasu zaprasza się ludzi z zewnątrz na jubel. Izolacja, jak zwykle, wypacza zmysł realności, tak niezbędny dla filmu, a wtedy dwa razy dwa zmienia się w pięć, i każde poślizgnięcie wzmaga tylko drażliwość, której nadmierne dowody nasi filmowcy dawali już nieraz. Dlatego dla dobra sprawy kinematograficznej i społecznej proszę ich, aby nie dopatrywali się w tych uwagach napaści, ale potraktowali je jako wyraz niepokoju i prawdziwej życzliwości.

ADAM WAŻYK

Kronika teatralna

DWA WIDOWISKA

Mowa tu o „Pygmalionie" G. B. Shaw'a, granym obecnie w reżyserji Michała Meliny przez zespół Kameralnego Teatru Domu Żołnierza — i o francuskiej komedji „Ostrożnie, świeżo malowane!" René Fauchois, granej przez zespół Teatru Wojska Polskiego w reżyserji Edmunda Wiercińskiego. Obie sztuki pełne dydaktycznych zamierzeń. Oba widowiska pełne prób żywej interpretacji scenicznej, przemyślanego podejścia ze strony reżyserów i aktorów do sprawy unaocznienia, uzmysłowienia zawartych w utworze treści.

To podkreślam specjalnie, chociaż nie będę mógł twierdzić, że koncepcja inscenizacyjna i jej realizacja w wypadku obu sztuk jest równie słuszna i trafna. Ale mamy za sobą szereg widowisk, z których większość — to było niemal zupełnie mechaniczne odtwarzanie tekstów, bez inwencji reżyserskiej, bez bodajże śladu prób twórczego przetransponowania istotnych treści utworu w formy widowiska. Toteż zarówno „Świeżo malowane", jak i „Pygmalion" przedstawiają pod tym względem — z mego punktu widzenia — pewien krok naprzód w rozwoju naszego powojennego teatru.

Mimo, że pod adresem inscenizacji „Pygmaliona" mam trochę zarzutów. Chciałbym być jednak dobrze zrozumiany: Jedną jest rzeczą stwierdzenie, że mamy do czynienia w widowisku z jakąś wogóle widoczną koncepcją na temat teatralnego wyrażenia treści utworu. To jest już coś, co — jak wspomniałem — nie zawsze się zdarza. Drugą natomiast jest rzeczą próba osądzenia takiej koncepcji i jej realizacji.

Sceniczny utwór literacki pt. Pygmalion — wspiera się na tezie, że obyczaje (mówiąc ogólnie) to rzecz nie wrodzona, lecz nabywana, rzecz, w zależności od warunków życiowych, do nabycia. Utwór ten (jak wiele z utworów Shaw'a) jest satyrą na płytką konwencjonalność obyczajową sfer arystokratyczno-mieszczańskich i na wykwitające na tej sztucznej glebie dziwactwa. Taki sens w każdym razie ma ten utwór przede wszystkim. Ale widziałem przed wojną, jak wystawiano go w Londynie: Zrobiono tam z Higginsa jakiegoś genialnego czarodzieja, a całą historię Ellizy przedstawiono tak, jakgdyby droga, na którą trafiła ta dziewczyna z ludu, była rzeczywiście drogą dla niej — w rezultacie — najwspanialszą. Mimo, że zasadniczo postacie pozostały satyryczno-groteskowe, to jednak całość — skutkiem tamtego zasadniczego założenia — nie była, jak sądzę, w zbytniej zgodzie z utworem. Wprawdzie Bernard Shaw, to pisarz raczej przekorny, niż prostolinijny, i często miesza wątki satyryczne z wątkami wręcz romantycznymi — jednak satyryczność jest nutą bezwzględnie istotniejszą dla tego Irlandczyka, przyglądającego się Anglikom szczególnie bystro i drwiąco.

Toteż w Teatrze Kameralnym Domu Żołnierza dobrze zrobiono, że u podstaw całej koncepcji widowiska znalazł się Higgins raczej jako dziwak i narwaniec. Zaiste, sens społeczny tej postaci stał się dzięki temu stanowczo realniejszy! I jeszcze jedną dobrą rzecz próbowano zrobić, chociaż już z mniej całkowitym powodzeniem: Mianowicie zbliżyć tekst do oryginału, czyli poprawić nieco bardzo złe tłumaczenie Sobieniowskiego, które spłycało, banalizowało sztukę. Dzięki temu uniknięto nieistniejącego w orginale „happy-end'u", co wyszło oczywiście na korzyść widowisku, dając mu bardziej jednolity sens. W innych miejscach jednak poprawiano to tłumaczenie zbyt nieśmiało.

I popełniono niedociągnięcie duże, które bardzo popsuło w realizacji koncepcję całości widowiska. Mianowicie drogi w zasadzie były dwie: „Pygmaliona" można było albo przeflancować zupełnie na grządkę polską (co osobiście uważałbym za rozwiązanie sztuczne i niecelowe), albo pozostawić go w atmosferze własnej, jak najbardziej angielskiej. Nie zrobiono ani jednego, ani drugiego. I pod tym względem zatrzymała się atmosfera sztuki niezdecydowanie gdzieś na drogach rozstajnych.

Nie chodzi już o to, że w pierwszym akcie mówi się o czyimś pochodzeniu z Park Lane ,a czyimś znów... z Kielc. Poza tym wypadkiem domyślać się było można, że inscenizatorom chodziło o wydobycie w widowisku atmosfery prawdziwie angielskiej. Niestety. Poza samym Higginsem i nienajgorszymi dekoracjami, nie stwarzał tej atmosfery — nikt. Skutkiem tego wszystkie pozostałe postacie wypadły w całości widowiska bladziej, niżby — przy swym poziomie gry i przy tak trafnie rozwiązywanych sytuacjach — wyjść mogły.

Komedia „Ostrożnie, świeżo malowane!" pokazana została w widowisku o lepiej zorganizowanej całości. Tyle, że tutaj dekoracje gorzej może współgrały: były zbyt obojętne. Za to charakter postaci, gra, rozplanowanie każdej sytuacji — wszystko to pokazywało nam najistotniejsze treści utworu w sposób chyba najdosadniejszy.

Sam utwór mówi o smutnej, tak smutnej że aż śmiesznej sytuacji społecznej znakomitego artysty-malarza, który w atmosferze liberalizmu spekulacyjno-rentierskiego skazany jest nieodwołalnie w swej pracy na trzy plagi: na własne nędzę, na ciemnotę otaczających go ludzi i na cynizm spekulantów po swej śmierci. Jak Shaw podsuwa krzywe zwierciadło, w które patrząc można się roześmiać ,tak autor tej komedii pokazuje krzywe zwierciadło, które nie tylko śmieszy, ale i przeraża.

Koncepcja widowiska poszła, zdaje się, po dobrej drodze. W takiej sztuce jak ta — przerysowanie, przekarykaturowanie postaci nie stworzyło nastroju przesady, ale właśnie wzmocniło całą sprawę w kierunku zobaczenia prawdziwych, zdemaskowanych wnętrz ludzkich. I wielu na widowni uderza się w piersi, lub powinno to zrobić, patrząc na doktora Gadarin, czy też na pana Cachex. A jednocześnie wszyscy mogą się chyba śmiało i szczerze cieszyć, patrząc na świetny rysunek tych postaci.

Juliusz Żuławski

TEATR POWSZECHNY
PAN JOWIALSKI. INSCENIZACJA I REŻYSERIA H. SZLETYŃSKIEGO, DEKORACJA J. ZARUBY.

Od lat pozycja Fredry i jego teatru jest ugruntowana. Wielkie są spory na temat jego twórczości. Krytycy różnią się raczej w interpretacjach i komentarzach. Kiedy najzłośliwiej się ścierają — nawet wtedy — jednakowo wskazują, gdzie poślad a gdzie t. zw. arcydzieło.

Za to figurom fredrowskim nie dano zażywać spokoju. Od lat krytyka gniewa się na świat jego postaci, albo przeciwnie kadzi mu bez miary. Ten drugi styl, zaczęty — tak na dobre — bodaj od Tarnowskiego, szczyt swój osiągnął już dawno, za przedwojennej pamięci. Ale gniewy i zachwyty rozdzielano nierówną miarą. Postacie, którym los zdarzył dostać się do Pana Jowialskiego, mogą się słusznie czuć pokrzywdzone. Kiedy odzywano się najostrzej o cześnikach i rejentach, los ich dzielił i staruszek Jowialski. Nic dziwnego. Ale kiedy z Cześnika i Rejenta zrobiono tytanów narodowej tradycji, kiedy Gustaw, a nawet byle ułan drugorzędnej komedyjki awansował na herosa, Jowialskiego zepchnięto na samo dno upodlenia, obrzucono wyrazem wyzwisk, ba, uczyniono odpowiedzialnym za klęski i upadek narodu. Polska wyrosła dzięki takim rębaczom i głowaczom, jak Cześnik i Rejent, upadła dzięki takim ramolom, jak Jowialski. Oto — jak świeżo pamiętamy — historozofia rzucana w popularnych komentarzach przez niebylejakich fredrologów.

Nie przypuszczamy dziś, żeby to było sprawiedliwe. Poziom moralny i intelektualny (bo w tak groźnych terminach formułuje się to zazwyczaj) mieszkańców Jowiałówki nie odbiega pewnie od atmosfery towarzyskiej innych komedyj Fredry. Skłonni jesteśmy sądzić Jowialskich razem z całym fredrowskim światem. A w sąd ten, gotowiśmy włożyć więcej pobłażliwości i humoru.

Chociaż i dziś... Nie potrzeba się zbytnio rozglądać, aby zobaczyć chętnych, którzy radziby ów akt oskarżenia przeciw Jowialszczyźnie odczytywać dalej. Może obstawić go nawet znacznie groźniejszymi sankcjami. Bodajże, gdzieś już takie słowa padły.

Szczęśliwie reżyser przedstawienia w Teatrze Powszechnym nie poszedł po tej linii. Mając do czynienia z utworem, dokoła którego skomplikowano tyle sprzecznych interpretacyj, oderwał się od uczonych komentarzy, a oparł na jeszcze — jak się okazało — wcale żywym materiale teatralnym. Nieprawdopodobieństwa i naiwności konstrukcyjne komedii, oddalające ją tak od współczesnego widza, przestają razić w ujęciu scenicznym wczorajszego widowiska. Oderwaliśmy się zupełnie od rzeczywistości, która była natchnie niem Fredry, zapomnieliśmy, że to mogła być satyra na jakieś rzeczy mu bliskie. I nie sądzę ,aby warto było wracać do spraw poważnych z okazji tego utworu. To, co może w nim i miało odcień serio, wypadnie przekazać historykom. W teatrze zupełnie nam wystarczy czarująco śmieszna bajka o ładnym poecie, który przypadkiem, poznaje tam i zdobywa zabawną narzeczona i odnajduje nie mniej zabawną matkę. A jeśli nad tą czy inną Fraszką Jowialskiego, lub tym czy owym żartem sytuacyjnym Fredry, potrafi się ktoś głębiej zamyśleć, to już jego wolna wola, i przyjemność. Reżyser nas do tego — bądźmy mu wdzięczni — nie zmuszał. To już sprawa takich właśnie filozoficznych bajeczek.

Wykonawcy zastosowali się do założeń inscenizatora.

Szambelana — jedną z najbardziej wypieszczonych przez się ról — powtórzył Zelwerowicz. Przypasowywał ją już kilkakrotnie do różnych inscenizacyj. Nieczęsto pewnie tak harmonizowała z całością jak wczoraj. Ta hiperbola poczciwego kretynizmu, mimo ostrej charakteryzacji, nie ma w sobie nic złośliwości. W dobroć, ciepło i wdzięk wyposażyła tę postać mądra wyrozumiałość artysty.

Inne figury tworzono na nowo. Od założeń tradycyjnych najśmielej odbiegł reżyser — ustawiając rolę Heleny i Janusza. Wyszło to na dobre aktorom i komedii. Zwłaszcza Helena. P. Rachwalska stanowi niecodzienne połączenie charakterystyczności i wdzięku. Spod skorupki romansowej panny raz po raz wyzierała bezpośredniość dziecka. Rola Heleny, która uchodzi za nudną i niewdzięczną, nabrała w jej interpretacji nieoczekiwanych odcieni i stała się nowym akcentem przedstawienia.

Postaci tytułowej nie wyprowadzono może dość ostro. Pamiętamy jeszcze wszyscy Solskiego. Opierał on rolę na rzeźkości, na owym „w starym piecu diabeł pali", natomiast facecje i przysłowia rzucał od niechcenia, w formie miłego ględzenia, nie dbając o atrakcyjność ich treści. Inscenizacja wczorajsza zredukowała ilość bajeczek, ale postarowiła ich zawartość wydobyć na wierzch, angażując do tego wszystkich obecnych na scenie aktorów. Nie tylko Jowialski odgrywa swoje powiastki, akompaniowali mu pilni słuchacze. Nie zawsze wypadło to szczęśliwie.

Sytuacyjnie widowisko było opracowane starannie i przemyślane konsekwentnie. Natomiast o strone plastyczną można było by się posprzeczać.

PP. Grodzicki (Jowialski), Bronowska (Jowialska), Tymowska (szambelanowa), Petrasrkiewicz (Janusz), Bogucki (Ludmir) i Borowski (Wiktor), zgodnie współpracując, utrzymywali przedstawienie w ramach rzetelnego teatru.

A. P.

Nowe książki

Zanna Kormanowa. Panna Stefania. — Wspomnienia o Stefanii Sempołowskiej. **Łódź,** „Książka" ,1945. str. 12 i 4 nl.

Piękne i serdeczne wspomnienie, poświęcone zmarłej w czasie okupacji — Stefanii Sempołowskiej, stawia przed naszymi oczami heroiczna zaiste postać nieodżałowanej Panny Stefanii. Była ona, jak wiemy, w ciągu paru dziesiątków lat, duchem opiekuńczym wszystkich zbuntowanych i z przemocą walczących, wszystkich prześladowanych, ściganych i więzionych za wierną służbę idei wolności i sprawiedliwości społecznej. Obojętne były dla Panny Stefanii imię i — mundur tej przemocy. Widziała mądrymi oczyma i czuła sercem szlachetnym tylko krzywdę człowieka, a „walka z krzywdą — pisze Kormanowa — była organiczną potrzebą tej duszy".

Ofiarne życie Stefanii Sempołowskiej, jej wieloletnia działalność opiekuńcza, oświatowa i pedagogiczna jest trwałym wzorem cichej, nieoficjalnej zasługi. Nie zaszczyty i nagrody, lecz przykrości, szykany i osobiste wyrzeczenia były udziałem tej wielkiej Polki o duszy nieugiętej, przezwyciężającej dumnie poglądy, przesądy i nawyki własnego niegdyś środowiska.

Jeszcze na śmiertelnym łożu, wśród ciemnej nocy okupacyjnej, dyktowała Panna Stefania pracę o nowych metodach kształcenia nauczycieli, „idąc myślą w godzinę wolności, kiedy stanie przed narodem sprawa walki o oświatę, o świadomość młodzieży, o oblicze ideowe szkoły"... I to jest też rodzaj testamentu, o którym dziś właśnie zapomnieć nie wo[illegible] **bd**

SPROSTOWANIE

Do wiersza St. R. Dobrowolskiego pt. „PAŹDZIERNIK", drukowanego w poprzednim numerze „Kuźnicy", zakradły się przykre błędy korektorskie, zniekształcające utwór. Właściwy tekst brzmi:

Wszystko przepłynie, przeminie —
gdzie był sad wisien
i dom u drogi jak drumla,
dzisiaj — cmentarze liści.

W jesiennym oknie stoisz otwarty
na przeciąg świata.
Był sen i światło, i świat i jaśmin —
i gdzie dziś tamto?

Więc tylko słowa? Nie im, to komu?
I sen już mierzchnie.
Stoisz i ledwie naścieżaj domu
chwytasz powietrze.

Września. 19. 11. 1945 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem p. Bolesława Kowalskiego, zamieszczonym w „Kuźnicy" dnia 4 listopada br. (Nr 10), pozwalam sobie przesłać W. Sz. Panu Redaktorowi w imię prawdy następujące sprostowanie:

Pan dr Bełza absolutnie nie miał nic wspólnego z redakcją „Gazety Lwowskiej" i nic do tego pisma nie napisał. Pracował w archiwum wydawnictwa jako urzędnik administracyjny, zbierając gazety polskie, niemieckie i ukraińskie — poza tym druki, klisze itp. dla celów archiwalnych. Pracą swoją przygotowywał materiał dla celów naukowych za czasów okupanta niemieckiego i jako fachowiec był na podrzędnym tym stanowisku dla sprawy polskiej wprost nieoceniony. Uczeni lwowscy, przedstawiciele polskich instytucji naukowych, bibliotek itp. oczekiwali tylko, by dla prac swoich materiał ów w przyszłości wykorzystać. Nawiasowo nadmieniam jeszcze, że gdy Niemcy przygotowywali się do ewakuacji Lwowa i całe wydawnictwo tudzież redakcja miały wyruszyć do Krakowa, p. dr Bełza wniósł zawczasu swoją rezygnację, która została przyjęta i w kwietniu z rodziną wyjechał do Ciężkowic pod Tarnowem.

Podając powyższe do wiadomości W. Sz. Pana Redaktora, proszę Go uprzejmie, by raczył wziąć słowa moje pod uwagę i bezpośrednio wyrządzoną drowi Bełzie krzywdę wynagrodzić.

Jako repatriant ze Lwowa, znający dokładnie tamtejsze stosunki, uważam za swój obowiązek przesłać W. Sz. Panu Redaktorowi niniejsze sprostowanie — w przekonaniu, że w imię prawdy Szan. Redakcja uczyni z niego odpowiedni użytek. Zaznaczam, że w razie potrzeby — na poparcie słów moich — mogę dostarczyć wiarygodnych świadków.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku i poważania **Mieczysław Stefanowicz.**

Przegląd prasy

W jednym z ostatnich przeglądów prasy notowaliśmy obszerne studium Kazimierza Wyki o realiźmie, zamieszczone w Nr 3 krakowskiej „Twórczości". Wyka domagał się w zakończenie eśsayu równouprawnienia dla tych wszystkich reprezentantów prozy, którzy „bez tragiczności i drwiny" zdołają „prawdzie czasu dać wyraz". „Realizm czeka na wszystkich" kończy Wyka.

Obecnie Wyka drukuje w „Odrodzeniu" (Nr 53) artykuł o trzech wielkich prozaikach polskich: Prusie, Reymoncie i Żeromskim. „Żywotne tradycje prozy polskiej", bo taki jest tytuł tego artykułu, ustalają, „jakie najdawniejsze dziesięciolecie ubiegłego wieku wydało powieści, po które dzisiejszy czytelnik sięga jako po dzieła interesujące go, powstałe w warunkach narodowych i społecznych nadal go żywo obchodzących". Artykuł jest więc niejako paszportem aktualności tych pisarzy. Mowa tu oczywiście o aktualności artystycznej. Pisząc o Żeromskim, Wyka oddaje należną sprawiedliwość wielkości postawy Żeromskiego, nie zamyka jednak oczu na te błędy stylu, które w pewnym sensie, zrodzone z fluktuacji modernistycznych, utrudniają dziś lekturę wielu dzieł tego wielkiego pisarza. „Wielki pisarz, wielki w swoich błędach, — pisze Wyka — budzący szacunek w swojej prawdzie duchowej, takim Żeromski pozostanie". Określając typ naturalizmu Reymonta jako sarmacki (w odróżnieniu od francuskiego) Wyka stwierdza niedostateczność naturalizmu jako metody artystycznej w ogóle. „Naturalizm... nie jest wyższym stopniem prawdy. Bo do prawdy konieczna jest również wiedza konstruująca, której Reymont nie posiadał". Wreszcie w konkluzji przeprowadzonych analiz sztuki pisarskiej dochodzi Wyka do wniosku, że „W dojrzałym pisarstwie Prusa i we wczesnej twórczości Żeromskiego jest jakiś węzłowy zwornik prozy polskiej... tam, na przejściu dwuch pokoleń artyzm prozy polskiej stał najwyżej".

O współczesnej poezji polskiej pisze w tym samym numerze „Odrodzenia" Kazimierz Brandys. Artykuł jest o tyle interesujący, że przeprowadza porównanie między poezją powstałą na emigracji zachodniej i twórczością tych poetów, którzy bądź znajdowali się w kraju, bądź też przybyli ze wschodniej emigracji. Brandys uzależnia gatunek twórczości i wagę dzieł poetyckich od wpływu środowisk, w któcyrh się znalazła po roku 1939 literacka emigracja. Obszernie omawiając emigracyjną twórczość Wierzyńskiego, Hemara, Lechonia — Brandys wykazuje, że wielu pisarzy uległo nastrojowi londyńskiej emigracji politycznej i przytacza cytaty, świadczące albo o całkowitym zdezorientowaniu w sytuacji kraju albo o całkowicie złej woli. Pożyteczny artykuł Brandysa pozwala nam przedstawić sobie tę „drugą emigrację", o której w jednym ze swoich wierszy pisze Hemar. Wierzyński, Lechoń, Hemar, autor popularnych piosenek kabaretowych w roli trzech wieszczów! „Tylko ci, którzy powrócą — pisze Brandys, mając na myśli pozostałych na emigracji pisarzy — potrafią nas z czasem zrozumieć. Tamci nie zrozumieją nas nigdy. Ani nas, ani Ojczyzny".

Poza tym w numerze znajdujemy artykuł Ksawerego Pruszyńskiego, poświęcony sprawie katyńskiej i reportaż z obozu kobiet w Limbachu Wandy Żółkiewskiej.

„Życie literackie" jest w tej chwili jedynym eklektycznym pismem literackim, czymś w rodzaju dawnego „Skamandra", jeśli idzie o utwory literackie, zwłaszcza poetyckie w nim zamieszczane. Natomiast dział artykułów i not wskazuje wyraźnie na idealistyczną pozycję redakcji. „Życie literackie" zachowuje jednak pewną wstrzemięźliwość, stara się o obiektywizm i ma raczej dobre obyczaje w dyskusjach i uwagach, co nie zawsze da się stwierdzić w odniesieniu do innych pism literacko-społecznych tego obozu. W Nr 11/12 „Życia literackiego" znajdujemy m. in „Odę do czasu" Jarosława Iwaszkiewicza, utrzymaną w pseudoklasycznym stylu, fragmenty „Kwiatów Polskich" Tuwima. Z prozy fragment H. M. Dąbrowolskiej z powieści „Ukryci". W dziale artykułów notujemy krótką pracę K. W. Zawodzińskiego o „Orientacji antyniemieckiej Kraszewskiego".

O Łużycach i sprawie łużyckiej pisze Antoni Nawka, jednocześnie redakcja publikuje kolumnę wierszy poetów łużyckich w języku łużyckim z objaśnieniami. O „Spotkaniach alianckich" pisze Mirosław Żuławski, opisując spotkanych przez siebie w czasie okupacji cudzoziemców.

„Nowa Epoka" (Nr 21) zamieszcza artykuły o trzech wybitnych postaciach polskiego ruchu demokratycznego. O Witosie pisze Jan Felix, o Limanowskim („Apostoł polskiej rewolucji") Jaromir Ochęduszko, o ks. Siegiennym — Wincenty Banaś.

„Chłopski sztandar" (Nr 7) poświęcił snać numer demagogicznemu zaprzeczaniu istnienia podziału na wsi, podziału na (cytuję wg. artykułu Jerzego Świrskiego „Wierzchosławickie porozumienie") „biedotę i kułaków". Również i w artykule Jana Deca „Jedność Ruchu Ludowego" białą nitką przebiega lęk przed rzeczywistością, zgodnie z którą: „Warstwę chłopską... dzielili na sprzeczne sobie grupy majątkowe... na — „kułaków, średniaków i biedotę chłopską" „Chłopski ruch polityczny według tych linii granicznych nigdy nie został rozszczepiony" — woła autor, choć dobrze wie, że ten istotny podział decyduje o istniejącym przecież rozszczepieniu Ruchu Ludowego.

Całkowicie niesłuszne i nieuzasadnione sądy na temat pisma „Wieś" i tzw. literatury chłopskiej wypowiada specjalista PSL od spraw literackich p. Stanisław Dzikowski. Pan Dzikowski życzyłby sobie, żeby pisarze chłopscy nie wyszli poza zaklęty krąg „hopsasa" i „oj-dana" i dlatego razi go, że „pracownicy kultury ludowej" (cudzysłów p. Dzikowskiego) posługują się czasami tym samym obrzydliwym żargonem intelektualnym, który utarł się już od dość dawna..." Wiemy o co chodzi! P. Dzikowskiego razi zapewne, że „chłopy" mówią o zagadnieniach artystycznych, używając terminologii filozoficznej lub naukowej, a p. Dzikowski wolałby, żeby mówili raczej „sprosta". Szydło z worka wyłazi, gdy czytamy na temat „Wsi": „zdarzają się i wręcz niewłaściwe pociągnięcia, jak np. dzielenie warstwy chłopskiej na biedacką i bogatą". Zapewne w redakcji „Sztandaru" panuje cicha zmowa, by istniejącego podziału nie uwidaczniać!

Nakładem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Krakowie ukazał się Nr 1 „Kultury", poświęconej sprawom kultury radzieckiej. W numerze przekłady z A. Tołstoja, Majakowskiego. Szołochowa. Poza tym kronika kulturalna, która w porównaniu z takimi samymi kronikami prowadzonymi przez inne pisma literacke (chociażby „Odrodzenie") jest raczej przedawniona i niezmiernie fragmentaryczna. Miejmy nadzieję, że „Kultura" w następnych numerach spełni swoje właściwe zadanie i że prócz tłumaczeń z dzieł autorów radzieckich, da nam przede wszystkim obszerne i wyczerpujące informacje dotyczące życia kulturalnego w ZSRR. **ph.**

NOTY

ODPOWIEDŹ NA ANONIM

Do Obywatela Z.!

List Pana przeczytaliśmy z zainteresowaniem. Traktujemy go poniekąd jako głos pewnych sfer inteligencji.

Cechuje Pański list tak, niestety, rozpowszechniona u nas pochopność do uogólnień. Wyrwany szczegół służy jako podstawa dla najszerszego uogólnienia. SPB wystawia kosztorys droższy, niż inżynier prywatny. A więc... dlatego mało u nas zrobiono i dlatego Polacy nie chcą pracować. Ależ, proszę Pana, tak doprawdy nie można, to jest doprawdy rozumowanie wbrew podstawowym prawidłom logiki.

Albo dalsze rozumowanie. Wierzy Pan w powodzenie rządu ludowego, ale PPR nie zdobędzie inteligencji, gdyż wysuwa robotników na kierownicze stanowiska. A propos, Pańska negatywna uwaga o wynikach tego eksperymentu na Wschodzie jest zupełnie nie uzasadniona. Zapomina Pan, że ci murarze, o których się Pan tak lekceważąco wyraża, potrafili wygrać wojne z przeciwnikiem, któremu nie mogli dać rady na Zachodzie. Dla tej wygranej konieczna była nie tylko odwaga osobista, ale i umiejętność kierowania przemysłem, wojskiem etc. Otóż, dokonali tego ci właśnie murarze. Nasza inteligencja musi nareszcie wyzbyć się bałwochwalczego stosunku do formalnych tytułów i oduczyć się lekceważyć świat pracy. Jest to, niestety, oddźwięk tej właśnie szlachetczyzny, której się Pan próbuje wyrzec. Jakie były wyniki takiego stosunku dla losów naszego narodu, vide historia ostatnich 150 lat.

Pisze Pan, że docenia Pan w pełni przyjaźń z Rosją. Ale jednocześnie mówi Pan o naszych wschodnich sąsiadach, jako o „dzikich małpoludach". Znamy ten epitet. Stosowali go hitlerowcy. Trzeba jednak pamiętać, że nie tylko w stosunku do Rosjan, ale i w stosunku do nas. Wprost nieprzyjemnie brzmią takie „zapożyczenia". Tym bardziej, gdy się chwilę pomyśli i przypomni sobie, że te „dzikie małpoludy" biją nas na głowę swoim teatrem, muzyką, nauką itd., itd. Nie warto samego siebie pokazywać w ujemnym świetle.

Cieszy nas, że Pan i Pańscy przyjaciele zgadzacie się z „Próbą diagnozy Żółkiewskiego". Radzimy raz jeszcze artykuł przeczytać. Może to pomoże w samokrytycznym wykryciu tych błędów myślowych, od których niestety roi się przesłany nam list.

Asz

KTO CZYTA GAZETY?

Z kół działaczy robotniczych podano mi, że w centrum kraju w Łodzi robotnicy fabryczni nie czytują gazet. Przy okazji różnych zatargów po fabrykach okazuje się, że wyjaśniać trzeba tam sprawy, o których gazety pisały. Ze słów zaś robotników wynika, że nie czytali tych gazet.

W Łodzi nie jest to trudność kolportażu. Po prostu koszt gazety jest zbyt wysoki. Nie mieści się w ramach budżetu robotniczego wyznaczonego przez wynagrodzenie gotówkowe.

Moi informatorzy - działacze jednocześnie stwierdzają, że gazety są niezmiernie potrzebne na fabrykach.

Żyjemy w dobie tak istotnych przemian, dzieje się tak wiele, tak dalecy jesteśmy od wegetacyjnego trybu życia z przed 1939 r., że trzeba wiele spraw gruntownie ludziom wyjaśniać. Jest czas teraz na obfitość prasy, wieców, zebrań.

Uderzam więc na alarm. Robotnik powinien czytać, chce czytać, a nie może nabywać gazety.

Nasze wydawnictwa muszą pomyśleć o zniżce ceny przynajmniej tych egzemplarzy gazet, któreby w zamkniętej kolportażowej rozprowadzane były po fabrykach. **Złk**

CO SIĘ DZIEJE W SZURGOSZCZY?

Jestemy krajem o niebywale wysokim poziomie myślenia politycznego i społecznego. Mam na myśli przeciętny poziom większości obywateli. Niezmiernie przyczynił się do tego okupant w ciągu lat sześciu wzbraniając nam tak szkodliwych w tym wypadku dyskusyj publicznych, czasopism, towarzystw kulturalnych, jawnych masowch partyj politycznych, zamykając wreszcie szkoły wszelkich typów.

To też rezultaty są wysoce zadawalające. Nieuprzedzony obserwator stwierdzi bez trudu, że każdy mieszkaniec naszej prowincji odznacza się trafnym, szerokim, subtelnym i opartym na gruntownym opanowaniu cyfr statystycznych i przemyśleniu perspektywy historycznej rozumieniem sytuacji gospodarczej kraju i układu sił międzynarodowych. Niepotrzebne jest dla znakomitej większości omawianie nowego kierunku naszej polityki zagranicznej, niepotrzebne uzasadnianie polityki walutowej rządu, całkowicie zbędne propagowanie zasad gospodarki planowej, wyjaśnianie współzależności między wzrostem dobrobytu a zwyżką wydajności pracy i rozwojem produkcji przemysłowej w kraju, czy roli międzynarodowej klasy robotniczej, roli Rewolucji Październikowej w kształtowaniu się postępu społecznego. Wyjaśnianie tych rzeczy jest zbędne. To są sprawy znane i ogólnie przyjęte.

Nic więc dziwnego, że: „18 bm. w Szurgoszczy odbył się wiec polityczny, przy licznym udziale tutejszej ludności. Wiec zagaił sekretarz gminy Szurgoszcz ob. Kowalski. Następnie ref. prop. masowej, ob. Kozioł, wygłosił referat na temat ogólny. W przemówieniu poruszane były sprawy strat wojennych w danych statystycznych. Następnie z wielkim naciskiem wzywano zebranych do pracy kulturalno-oświatowej, w świetlicach i innych komórkach organizacyjnych i oświatowych. W przemówieniu skreślono wyraźnie stosunek reakcjonistów do Rządu Jedności Narodowej i naszego społeczeństwa". („Trybuna Robotnicza", Katowice, 29. 11. 45) ...referat na temat ogólny... sprawy strat wojennych... z wielkim naciskiem wzywano zebranych do pracy kulturalno-oświatowej... skreślono wyraźnie stosunek reakcjonistów do Rządu Jedności Narodowej... A, psia krew!

Źle napisana notatka? Nie, niestety właśnie mimowoli dokładny obraz naszej rzeczywistości prowincjonalnej. Uczył Marcin Marcina...

Wiem nawet (bez wyjaśnień gazety) czego ludność tak informowana domagała się po wiecu: zniesienia w Polsce obozów koncentracyjnych i krwawych rządów masońsko-żydowskich, zerwania z przymusem należenia do partyj politycznych i zaprzestania mianowań niepiśmiennych notariuszami. A, psiakrew! **Złk.**

NOWY SAVANAROLA
czyli gorliwy podpalacz

W „Przekroju" nieznany nam bliżej ob. Kazimierz Koźniewski oburza się na niedbałe wydanie „Pana Tadeusza", dokonane przez Spółdzielnię Wydawniczą „Książka".

Istotnie „Pan Tadeusz" w edycji „Książki" ma błędy zecerskie, nota bene naprawione w załączonej erracie.

Nie będziemy usprawiedliwiali „Książki", która usprawiedliwienia w tym wypadku nie potrzebuje, napewno ustrzeże się ona od tych błędów w drugim wydaniu, a i tak swoją pozytywną rolę społeczną omawiana edycja spełniła.

Ważniejsza jest inna rzecz — środki zaradcze, jakie ob. Koźniewski proponuje, by „Pan Tadeusz" w „skażonej" — jak powiada — formie nie dostał się do rąk czytelników.

Otóż ob. Koźniewski zaleca ni mniej ni więcej urządzenie auto-da-fè — spalenia całego nakładu.

Wzorów nie szukał zapewne daleko, nie natchnął go prawdopodobnie odległy w dziejach Savanarola, lecz inny, bliższy nam w czasie „reformator" ludzkości, niejaki Adolf Hitler.

W dzisiejszych czasach nawoływanie do palenia książek, choćby pod pretekstem, że edycja była nieudana — jest co najmniej lekkomyślnością, jeśli już nie wręcz szkodnictwem. **sw**

POCHOPNE CENZURKI

Sprawa trzech środowisk literackich w okresie wojny, krajowego i dwóch emigracyjnych, poruszona na łamach „Odrodzenia" przez Kazimierza Brandysa, znalazła oddźwięk w artykule Grzegorza Timofiejewa („Robotnik" 4. 12) pt. „Trzy środowiska — trzy literatury". Artykuł ten świadczy, że lansowane przez pewne koła mity o supremacji artystycznej emigracji zachodniej rozbijają się o trzeźwą ocenę sfer literackich zarówno w Krakowie jak i w Łodzi. Do artykułu Timofiejewa zakradł się jednak przykry zgrzyt, którego nie można pominąć milczeniem. Timofiejew pisze: „Kto pragnie zwycięstwa klasy robotniczej — jest z nami. Dlatego wrócił Władysław Broniewski, a Słonimski był, powąchał nasze „ciężkie" powietrze i odjechał czym prędzej do Londynu. „Lewicowość" Słonimskiego okazała się frazesem tak samo bladą jest „lewicowość" Tuwima, który woli siedzieć w Ameryce".

Jak wiadomo, Słonimski nigdy nie podawał się za przedstawiciela lewicy. Ewolucja doprowadziła go do obozu demokracji, co świadczy jaknajlepiej o jego żywotności. Źle się stało, że podczas pobytu w kraju Słonimski wzgardził Łodzią i nie poinformował kolegów-literatów o swoich zamiarach. Nie pozostawiłby pola do nieporozumień i docinków. Jeszcze gorzej się dzieje, kiedy literaci nie wiedzą, pomimo, że rok upłynął od wyzwolnia kraju, co zrobili ich koledzy w latach wojny zagranicą. Julian Tuwim wyświadczył poważne usługi sprawie demokracji, występując jeszcze w roku 1942 na wiecach robotników polskich w Ameryce. Julian Tuwim był pierwszym literatem emigracji zachodniej, który przeciwstawiał się publicznie działalności reakcyjnych klik emigranckich. Julian Tuwim był też pierwszym literatem który przez ocean kłamstwa, intryg i uprzedzeń wyciągnął dłoń do swoich kolegów na emigracji wschodniej, walczących o niepodległość kraju, popularyzował w Ameryce idee Związku Patriotów Polskich i polskich jednostek wojskowych formowanych pod egidą tego Związku w Z.S.R.R. Gdyby Timofiejew znał fakty i doceniał działalność swoich kolegów-literatów, nie szachowałby tak pochopnie oskarżeniem o frazesy i blagę.

To prawda, trudno samemu dojść prawdy, którą okrywa się u nas głuchym milczeniem. Inaczej jest w innych krajach, np. we Francji. Tam narodowy Komitet Pisarzy informuje społeczeństwo o działalności i zasługach literatów. U nas nie wiele wie się o tym nawet w Ministerstwie Kultury i Sztuki, nawet w Prezydium Rady Ministrów. Walny Zjazd Związku Literatów zobowiązał w swoim czasie zarząd Związku do zbierania i ogłaszania materiału o działalności poszczególnych literatów podczas wojny. Czy nie warto tej pracy przyśpieszyć? **awk**

JESZCZE Z POWODU GUDZENKI

W numerze 10 „Kuźnicy" Złk. zwrócił uwagę na interesujące zjawisko, jakim jest w poezji radzieckiej poeta Gudzenko. Złk. dojrzał w poezji Gudzenki objawy odrębnej samodzielnej prostoty poetyckiej i wyraził obawę, czy niektóre głosy krytyki radzieckiej atakujące Gudzenkę nie okazują za małej elastyczności w stosunku do poezji. W odpowiedzi na to w numerze 12 „Kuźnicy" Sb. usiłował wykazać, że napaści krytyki radzieckiej dotyczą wyłącznie smaczków akmeistycznych, które zjawiają się we wierszach Gudzenki i przytoczył istotnie odstręczający przykład z wiersza „Przed atakiem". Podzielam niechęć Sb. do smaczków akmeistycznych, sądzę że podziela ją także i Złk., słowem wszyscy pod tym względem zgodzimy się nawet z najsurowszą krytyką, ale czy to wyczerpuje sprawę? Notę Złk. podyktowała troska, aby wraz z brudną kąpielą przypadkiem nie wylano dziecka. W poezji, zwłaszcza u młodych poetów, złe upodobania tak się splatają z dobrymi zadatkami, że trzeba wielkiej ostrożności w ich traktowaniu. Obawiam się, że Sb., który konkluduje: „Sowiecka krytyka literacka ma rację", nie rozróżnia w sowieckiej krytyce rozmaitych opinii o Gudzence i dopatruje się jakowegoś monolitu we wszystkich zjawiskach kultury radzieckiej. Przeciwstawiając innych poetów radzieckich Gudzence, Sb. przypisuje im jedyny ton właściwy. Tak rozumując, Sb. z góry ogranicza możliwość poezji radzieckiej. Naturalnie, poezji radzieckiej to nie zaszkodzi, natomiast rozwój jej może zaskoczyć autora notatki. Sb. radby widzieć w całej poezji radzieckiej określoną „dyscyplinę", gdy tymczasem wbrew gorliwcom, których w żadnym kraju nie brak, a którzy stan obecny traktują jak stan wieczny, walka o jak największą rozmaitość stylów poetyckich może najbardziej leży na sercu tym, którzy dbają o rozwój życia artystycznego w ZSRR. **awk**

PAN KISIELEWSKI POZBYŁ SIĘ FINEZJI

Akcja demaskatorska, podjęta na łamach „Kuźnicy" w stosunku do poszczególnych publicystów, którzy dla dogodzenia kołtunerii, w niedomówieniach i domyślnikach starają się przemycić swoje negatywne stanowisko wobec dzisiejszej demokracji, odniosła należyty skutek. Dotyczy to przede wszystkim ob. Stefana Kisielewskiego z „Tygodnika Powszechnego". Redakcja „Kuźnicy" postawiła kilka kropek nad i w publikackjach tego płodnego publicysty. Doprowadziło go do takiego zdenerwowania, że opuściła go finezja i zaczął poprostu szkalować literatów. Niedawno wysadził się na artykulik pt. „Jastrun terrorysta". Zastrachany sensem własnych wystąpień, ob. Kisielewski usiłuje wmówić w czytelników, że autor „Godziny strzeżonej", poeta, który twórczością swoją w czasach okupacji dał przykład niepospolitego hartu ducha, zatruł się metodami faszystowskimi. Niepoczytalne insynuacje kierowane z początku pod adresem „Kuźnicy" ob. Kisielewski rozszerzył obecnie na „Odrodzenie". Wyroki ob. Kisielewskiego, co ma być prawdziwie polskie, a co nie dość polskie, wywodzą się z dawnych i świetnych tradycji. Niegdyś, po tamtej wojnie życie literackie miało swojego naprzykrzonego ramola, który podobnie wyrokował i podobnie złorzeczył, ale z większym temperamentem. Nazywał się Stanisław Pieńkowski — postać dawno zapomniana, ale jakże poważna i dostojna w zestawieniu ze swoim następcą.

„Nie każdy weźmie po Bekwarku lutnicy"

Ob. Kisielewskiego pozostawimy jego postępującej wściekliźnie. **rdc**

DUCH ADAMA I SKANDAL

„Odrodzenie" wydało numer Mickiewiczowski i natychmiast po tym zawstydziło całą prasę literacką stwierdzeniem, że zapomniało o rocznicy Adama. Dostało się i „Kuźnicy". Bardzo nam przykro. „Kuźnica" nie zapomniała. Czy nie przypominało by to niepotrzebnie musztry gdyby wszystkie pisma naraz w jednym dniu stawiły się na apel rocznicowy? Słuszna sprawa pamięci narodowej więcej by na tym straciła niż zyskała. Rocznica Mickiewiczowska trwa... **rdk**

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
D-02747
Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.
Prenumerata miesięczna zł 21.—, kwartalna zł 63.—.
Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.